GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1936 R.

Nr. 16–17 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 16—17

1936 R.

1 — IX

WŁADYSŁAW GRABSKI

OBNIŻENIE STOPY PROCENTOWEJ

Obniżenie stopy procentowej, jest drugim po równowadze budżetowej warunkiem ożywienia życia gospodarczego.

Znamienną cechą sytuacji gospodarczej Polski — jest zbyt wolne i chwiejne tempo powrotu fazy ożywienia po zbyt długotrwałej i wciąż jeszcze dającej się odczuwać depresji gospodarczej.

Dla ogromnej większości ludności wciąż jeszcze jesteśmy w fazie depresji — zastoju. Nie widzi ona dla siebie widoków na normalne zatrudnienie i szuka ratunku w różnych zajęciach doraźnych. Depresja ta z roku na rok staje się coraz groźniejszym fermentem politycznym i rok 1937-y wymaga, by od wczesnej wiosny ludność odczuła większą dla siebie ulgę.

W opinji publicznej dojrzał tylko jeden środek przeciwko depresji; jest to prowadzenie robót publicznych na wielką skalę. Rząd przygotowuje drugi środek — reformę rolną w *odnowionem* tempie i zakresie.

Musimy zdać sobie sprawę, że jeżeli wyłączamy inflację i psucie pieniądza, to ani wielkie roboty publiczne, ani reforma rolna nie mogą być przeprowadzone szeroko i skutecznie w atmosferze takiej, przy której trwać będą czynniki gospodarcze depresyjne, przy których wszelkie ruchy ożywcze w sferze stosunków gospodarczych będą zamrażane przez wpływ powściągający *podstaw* równowagi gospodarczej, niedopuszczających do ożywienia.

Z powyższego wypływa, że przed tem, nim zacznie się przeprowadzać większe roboty publiczne oraz szerzej zakrojoną reformę rolną — należy uporządkować teren czynników równowagi gospodarczej na odcinku, który stanowi najsłabszy punkt naszej rzeczywistości gospodarczej.

Po doprowadzeniu do równowagi budżetu tym najsłabszym punktem jest wysoka stopa procentowa wszelkiego kredytu gospodarczo twórczego. Stopa tego kredytu nie jest to stopa Banku Polskiego, ani banków państwowych lub prywatnych. Te stopy procentowe odnoszą się do już ustalonych stosunków. Ale jeżeli kto chce zrobić jaką inwestycję, podjąć się nowych robót, rozwinąć zakres przedsiębiorstwa — nie otrzyma wcale kredytu nigdzie na normalnych warunkach; musi ponosić konsekwencje tego w postaci kosztów szczególnych.

Kurs papierów publicznych długoterminowych na giełdzie wynosi obecnie około 10%. — Ale żadnego nowego skryptu dłużnego po tej stopie zdyskontować nie można. Roboty publiczne dokonywane są w dużej mierze przy pomocy 6-o procentowych skryptów dłużnych państwowych paroletnich. Kurs ich realizacji powinien być niższy od powyższej stopy 10%, gdyż płatne są one al pari za parę lat. Tymczasem kurs ich realizacji trzyma się stopy 12 do 13 — i kurs ten jest w roku bieżącym wyższy, niż w roku przeszłym. To, że część tych skryptów dłużnych przyjmują instytucje publiczne za zgodą Ministerstwa Skarbu, nie poprawia sytuacji, gdyż część ta jest sztywna i zbyt mała.

Co oznacza ta wysoka stopa życiowa wszelkiego kredytu, niezbędnego dla ożywienia życia gospodarczego? — Znaczy to, że faza ożywienia jest pozorna

i że depresja nie jest zakończona w sposób zapewniający trwałość ożywienia.

Póki nie jest uporządkowany rynek pieniądza, póty pomimo uzyskania równowagi budżetu, ogłoszenie wielkich robót lub reform nie da rzeczywistego ożywienia, ponieważ zostanie ono zamrożone przez wysoką stopę i niedostępność kredytu.

Przecież czy roboty, czy reformy — wymagają wkładów pieniężnych, a więc podnoszą popyt na pieniądz. A gdy podaż jest mała i niepewna, wszelkie zwiększenie popytu wywołuje trudności fatalne i w konsekwencji zgubne.

Utrzymywanie się uporczywie długo w Polsce wysokiej stopy procentowej ma swoje przyczyny w naszej ogólnej polityce kredytowo-walutowej. Stopa procentowa Banku Polskiego ma bardzo mały wpływ na stopę kredytu prywatnego, a nawet na istotne koszty kredytu bankowego.

Kurs giełdowy papierów procentowych nie jest również miarodajny dla stopy nowych kredytów. W obronie waluty Bank Polski odrzuca od siebie wielką ilość klijentów, zupełnie nawet pewnych i solidnych, ale nie podchodzących pod normy dyskonta. W obronie kursu dawniej wypuszczonych papierów Skarb nie dopuszcza na giełdę nowych zobowiązań dłużnych publicznych i skarbowych. Tą drogą oczywiście nie obniży się stopy procentowej w obrotach prywatnych.

Polityka P. K. O., Komunalnych Kas Oszczędnościowych i Ubezpieczeń Społecznych, gromadząca ogromne kapitały, nie wpływa również zupełnie na obniżenie stopy procentowej. Lokaty tych instytucyj są ograniczone i wymagają osobnych skomplikowanych decyzyj. Niska stopa tych lokat nie oznacza wcale niskiej stopy pożyczek, udzielanych życiu gospodarczemu. Cała ta dziedzina tkwi na punkcie wybitnie martwym, bezpłodnym i nie daje żadnego wyjścia.

Kredyty udzielane przez Fundusz Pracy noszą charakter subwencyj. Kredyty celowe banków państwowych też zdradzają wielkie błędy organizacyjne. Wieleż to porobiono niepotrzebnych nakładów na skutek kredytów celowych. A każdy nakład niepotrzebny — to zwiększenie stopy procentowej.

Cała polityka kredytowa i obrotu pieniężnego odbywa się od szeregu lat pod wpływem zaklęcia walutowego. Ma to swoją dobrą i złą stronę. Walutę mamy stałą, ale stopę procentową wysoką i zdolność rynku dla wchłaniania niskoprocentowych papierów państwowych, czy innych, prawie żadną.

Jakie znaczenie dla ożywienia gospodarczego ma obniżenie stopy procentowej — widzimy to na przykładzie Francji. Zdawało się rzeczą nie do pomyślenia, by ogromne obciążenie kosztów produkcji, jakie wynikło tam ostatnio na skutek akcji robotniczej, nie podcięło równowagi ekonomicznej i nie doprowadziło do wielkiego kryzysu gospodarczego i walutowego. Stało się wprost przeciwnie, gdyż producenci znaleźli w obniżce stopy procentowej przeciwwagę, pozwalającą na pokrycie wzrostu kosztów robocizny przez obniżenie pozycji wydatków na opłacanie procentów bankom i wierzycielom prywatnym.

Obniżanie ustawowe procentów, jakie ma miejsce u nas w stosunku do kredytu rolniczego nie jest wcale środkiem, prowadzącym do obniżenia faktycznej stopy procentowej dla tych kapitałów, które są potrzebne dla ożywienia życia gospodarczego, a wprost przeciwnie — działa ono odstręczająco na chęć udzielania pieniędzy na cudze gospodarstwa i przedsiębiorstwa, czyli działa w kierunku podniesienia stopy procentowej nowych kredytów.

Od szeregu lat w Polsce przedstawiciele sfer gospodarczych tęsknią po cichu i nieśmiało do spadku naszej waluty, jako do sposobu ulgi w zadłużeniu i do potanienia realnych kosztów produkcji. Jest to nastawienie fałszywe i błędne. Wagi obniżenia stopy procentowej kredytów żywych, nowych, niedoceniają u nas ani rząd, ani sfery gospodarcze.

A jednak po osiągnięciu równowagi budżetu niema ważniejszej dla państwa naszego sprawy finansowej i gospodarczej, jak obniżenie stopy procentowej. Oczywiście, że musi to być dokonane w skali szerokiej, powszechnej, a nie w postaci nowej pozycji tanich kredytów celowych lub nowych norm maksymalnych oprocentowania.

Ażeby dojść do celu na polu tego obniżenia — trzeba w 1936-m i 37-m roku przystąpić do tego zadania, podobnie, jak przystąpiono w r. 1935-m i 36-m do sprawy równowagi budżetu. O ile sprawy obniżenia stopy nie uzną się za rzecz podstawową, wyjściową, kluczową — to rezultaty zamierzanego ożywienia gospodarczego będą nader nikłe.

Sposobów obniżenia stopy jest wiele. Nie chciałbym kreślić jakiegoś jednego szczególnego sposobu. Trzeba zaprząc do pracy specjalistów i powierzyć im opracowanie całej wielkiej skali sposobów.

Nie jeden, a cały szereg sposobów może dopiero poskutkować w sprawie tak złożonej, jak rzeczywista skala procentów, warunkujących ożywienie życia gospodarczego.

Przy opracowywaniu tych sposobów należy zdać sobie sprawę z najważniejszych zaniedbań naszych na tem polu. Niektóre są bardziej znane i często omawiane.

Nasze ustawodawstwo o podatku dochodowym, wzorowane na krajach zasobnych w kapitał i mających dochodowość ustaloną, fatalnie zaciążyło na naszem życiu gospodarczem, które trapi brak kapitałów własnych w przedsiębiorstwach i chwiejność oraz zmienność stopnia dochodowości. W warunkach życia w Polsce koniecznem jest, by straty jednego roku mogły być pokrywane dochodami następnego bez opodatkowania. To, że jest inaczej, nie tylko razi poczucie sprawiedliwości, ale pcha przedsiębiorstwa zbiorowe czy prywatne w latach dobrych do marnotrawstwa, a w złych do szukania pokrycia strat w zwiększeniu zadłużenia — zamiast znajdowania dla nich źródeł w rezerwach z lat dobrych. Oczywiście, prowadzi to do zwiększenia nacisku na rynek pieniężny, a więc do podnoszenia stopy procentowej.

Podwójne zbyt wysokie opodatkowanie jednostek prawnych prowadzi do wypłacania zysków w postaci wynagrodzenia personelu, do marnotrawstwa w latach dobrych i do zmniejszania dywidend, co znów po-

woduje zamarcie rynku giełdowego na akcje i pozbawienie jednostek prawnych dopływu kapitału o oprocentowaniu zmiennem, a zwiększenie zapotrzebowania na kredyt, czyli zwiększenie jego stopy.

Reforma ustawy o podatku dochodowym jest rzeczą bardzo pilną i powinna być dokonana tak, by podatek ten nie wpływał ujemnie na dopływ do życia kapitałów czynnych.

Wszelkie lokaty Ubezpieczeń Społecznych, P. K. O., Komunalnych Kas Oszczędności i innych instytucyj publicznych, gromadzących środki pieniężne ogółu społeczeństwa, powinny być skierowanę wyłącznie na zakup na giełdzie papierów publicznych.

Fikcją jest dziś giełda papierów publicznych, skoro nikt na niej nie kupuje. Ale też i na giełdę nikt liczyć nie może: ani przedsiębiorcy, ani rząd również, o ile zachodzi potrzeba lokowania papierów o stałem oprocentowaniu. Ten stan rzeczy nie jest rzeczą trudną do zmienienia. Zamiast kołatać do drzwi zarządów różnych instytucyj, klijent, chcący realizować papiery oprocentowane, powinien skierować się na giełdę. Wtedy dopiero będzie mógł ruszyć z miejsca zarówno kredyt długoterminowy, niezbędny przy reformie rolnej, jak i kredyt krótkoterminowy państwowy, niezbędny przy prowadzeniu szerokich robót publicznych.

Sprawy te już nieraz były omawiane i powszechnie są znane, brak tylko zdrowej i stanowczej decyzji rządu. Tu potrzeba właśnie całego uświadomienia sobie zła stanu obecnego i doniosłości sprawy obniżenia stopy procentowej nie dla grupy osób i instytucyj zgóry znanych, lecz dla całego ogółu osobiście nikomu nieznanego. Jest to zupełne zwekslowanie z dzisiejszych torów.

Najważniejszą jednak rzeczą jest zatroszczenie się o los papierów publicznych państwowych takie, któreby wzmocniło do nich zaufanie, podniosło ich kurs, a przez to umożliwiło wypuszczenie w najbliższym czasie nowych niskoprocentowych o różnym terminie papierów państwowych takich, jakie są wypróbowanym środkiem uruchamiania na większą skalę robót publicznych oraz przeprowadzania szerszych reform agrarnych.

Inercja naszej polityki kredytowej na tem polu stanowi najsłabszy punkt całej gospodarki skarbowej Polski od samego jej początku.

Sposoby podnoszenia kursu państwowych papierów procentowych są liczne i bywały stosowane z różnem powodzeniem. Są przykłady, że można osiągać duże skutki za pomocą odpowiednich urządzeń, właściwej organizacji i poświęcenia potrzebnych środków. Francja za czasów Poincare'go oraz Włochy i Niemcy w ciągu ostatnich lat dają dużo dobrych przykładów. Ale żadne urządzenie pojedyńcze, żadna kasa amortyzacyjna, żadna specjalna instytucja nie pomoże, jeżeli środki stosowane będą jednostronnie i jeżeli nie będą im towarzyszyły różnorodne sposoby oddziaływania na rynek pieniężny na wszystkich odcinkach życia gospodarczego.

Bez akcji jednak w wielkim stylu o poważnych środkach, któraby skupywała i amortyzowała wypuszczone i wypuszczane papiery publiczne, nie da się szybko uzdrowić rynku. Konwertowanie przymusowe papierów bez dokonywania spłaty — jest to najgorszy z systemów opanowywania przez Państwo rynku papierów procentowych. Dotychczas tylko ten sposób miał u nas prawo obywatelstwa.

Przeciwko przeznaczeniu większych środków pieniężnych na podniesienie kursu papierów o stałem oprocentowaniu można się wypowiedzieć w imię tego, że przecież środki są potrzebne na roboty publiczne i na reformę rolną, a więc nie można będzie ich uruchamiać na amortyzację i wykup pożyczek państwowych. Takie rozumowanie jest błędne. Jeżeli skarb Państwa jest w stanie udzielić z ogólnych środków swoich — np, sto miljonów złotych i jeżeli je przeznaczy na roboty publiczne i reformę rolną — będzie to bardzo mało na te dwa wielkie cele, wymagające ogromnych środków, by stanęły na właściwym poziomie. Ale jeżeli skarb przeznaczy sto miljonów zł. gotówki na akcję skupywania pożyczek państwowych, to może jednocześnie przeznaczyć 300 miljonów zł. na roboty publiczne i reformę rolną pod postacią papierów publicznych oprocentowanych o różnych terminach płatności, bo te 300 miljonów znajdą lokatę na giełdzie bez obniżenia kursu poprzednich pożyczek, skoro 100 miljonów służyć będzie do ich wykupywania, a nawet pozwolą jeszcze, by dzięki działalności odpowiedniej akcji skupu kurs dawnych pożyczek się poprawiał.

Roboty publiczne i reformę rolną można prowadzić przy pomocy pożyczek i skryptów państwowych oraz obligacyj banków państwowych, ale pod warunkiem, by papiery te były wolne dla obrotu publicznego, czyli giełdowego. Dotychczasowe próby, by roboty publiczne były prowadzone przy pomocy skryptów państwowych, zamkniętych dla obrotu i szukających lokaty prywatnej, wykazały tyle ujemnych stron tego systemu, że powinien on być jaknajrychlej zaniechany.

Przy istnieniu akcji państwowej, którąby miała zapewniony stały dopływ środków na skup papierów publicznych, nie będzie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa, jeżeli Bank Polski otwierać będzie szeroko kredyt pod zastaw pożyczek państwowych. Dziś Bank Polski nie jest w stanie wyjść ze swego stanowiska izolacji wobec najbardziej żywotnych spraw kredytowych Państwa. — Jest to rezerwa do niczego dobrego nie prowadząca. Rezerwa ta płynie z braku planu oraz z obawy przed inflancją. Ma to swoje uzasadnienie. Ale plan udziału Banku Polskiego w ożywieniu życia gospodarczego jest też konieczny.

Nie mam zamiaru rozwijać dalej szczegółowo różnych myśli na poruszone tematy. Powinni to zrobić specjaliści, którzy mogą przestudjować odnośne materjały zagraniczne i sięgnąć do twórczości własnej, opartej na dobrej znajomości faktów. Aparat urzędniczy Ministerstwa Skarbu znajdzie zapewne w swem gronie ludzi, którzy mogą pracę pozytywną w tym kierunku dokonać. Zrobią oni to, gdy będą mieli wyraźnie polecone, by spełnili obowiązek obmyślenia szeregu najwłaściwszych sposobów, ażeby uzyskanie równowagi budżetowej, którą musimy uważać za wielką zdobycz roku 1936 nie zostało zmarnowane dla ożywienia życia gospodarczego skutkiem braku planowej akcji na polu obniżenia stopy procentowej kredytów żywych i twórczych.

LUDWIK BERGER

WIELKI I MAŁY PRZEMYSŁ

Los drobnego przemysłu w olbrzymiej mierze zależy od postawy wielkiego przemysłu.

Drobny i średni przemysł ma prawie bez wyjątku charakter przetwórczy. Przetwarza surowce i półfabrykaty na wyroby gotowe — zazwyczaj wyższego rzędu w stopniu przetwórczości i użytkowości, — temsamem wyroby dostosowane do potrzeb i zamiłowań różnych okolic kraju. Bowiem nietylko są różne stroje ludowe w Krakowskiem, na Pokuciu i na Polesiu, ale także różne są uprzęże dla koni, różne co do wielkości koła przy wozach, zupełnie różne osie, nawet różne podkowy i ocyle do podków. Jeśliby ktoś wziął do ręki i porównał zamówienie na surowiec handlowy czy przetwórczy, — co na jedno zresztą wychodzi — zakupywany np. w hutach przez odbiorcę z poznańskiego i przez odbiorcę z Małopolski, to nie znalazłby wręcz ani jednego wymiaru żelaza walcowanego identycznie się przedstawiającego w tych dwóch różnych dzielnicach kraju. O czem to świadczy?

O tem przedewszystkiem, że istnieją widocznie istotne przyczyny, które powodują inne wymagania u woźnicy, u wozu, u konia, jeżdżących drogami poznańskiemi, a inne wymagania przy spełnianiu tychsamych funkcyj na drogach np. województw wschodnich.

Zaspakajaniem tych zróżnicowanych potrzeb trudni się, wyspecjalizowany właśnie i dostosowujący się do lokalnych wymogów, przemysł przetwórczy średni a głównie drobny. Toteż nawet najdalej posunięta technizacja produkcji nie mogła doprowadzić nigdzie do zastąpienia całkowitego — szczególnie w przetworach wyższego rzędu, — przemysłu drobnego przez przemysł wielki. Przemysł drobny odgrywa określoną rolę w gospodarstwie społecznem, gdyż w pierwszym rzędzie indywidualizuje zapotrzebowanie odbiorcy, mając łatwiejszą możliwość dostosowania się do różnorodnych potrzeb, a w drugim rzędzie, w kraju takim jak Polska, t. j. o słabo rozwiniętej konsumcji towarowej, ma możność lepszego skalkulowania pracy od przemysłów nastawionych na wytwórczość masową, a nie znajdujących dla tej masowości należytego zbytu. Ten to właśnie element, element niemożności zamortyzowania wielkoprzemysłowych inwestycyj z powodu braku należytej konsumcji, który stanowi o drogich kosztach produkcji w przemyśle wielkim — stanowi jednocześnie o daleko posuniętej konkurencyjności t. j. o potrzebie istnienia w naszej strukturze gospodarczej przemysłów drobnych i średnich.

Zarówno na rynku wewnętrznym jako też i w eksporcie obserwujemy na każdym kroku w polskiej strukturze ekonomicznej wyższość kalkulacyjną — idącą zresztą u nas w parze także i z wyższością gatunku produkowanego wytworu — przemysłów drobnych i średnich nad przemysłem wielkim. W polskim przemyśle żelaznym, tak prymitywny produkt jak podkowa dla konia i tak precyzyjny produkt jak kłódka wertheimowska, biją bez reszty jako wytwory chałupnictwa względnie wytwory drobnego warsztatu przemysłowego, konkurencję wielkoprzemysłową opartą o własne surowce.

Weźmy żywy przykład: huta „Batory" próbuje od dziesięciu lat wyprodukować podkowę dla konia z własnego surowca żelaznego, by pobić konkurenta w osobie chałupniczych warsztatów sułkowickich w Małopolsce .Bez żadnego efektu jednak. I to nietylko dlatego, że — jak ktośby może chciał dowieść, — w chałupnictwie i w małych warsztatach małopolskich są niższe płace niż na Górnym Śląsku — napewno nietylko dlatego, bo przecież różnica w cenach zakupu surowca, różnica w jego dowozie, daleko idące luki i niedomogi w instytucji, a raczej w braku instytucji sprzedaży wyrobów drobnowarsztatowych napewno zjadają z nawiązką jedyną różnicę w płacy na korzyść małego warsztatu małopolskiego.

Jeśli więc warsztat mały zwycięża, to głównie dlatego, że nie jest obciążony piramidą olbrzymich kosztów administracyjnych i amortyzacyjnych niedostosowanych do zdolności naszego rynku konsumcyjnego, a pozatem dlatego, że umie z właściwą sobie elastycznością dostosowywać się do różnorakich potrzeb i wymogów różnych okolic rynku wewnętrznego. To samo w eksporcie. Wiadomo, że pierwszym warunkiem zdobycia rynku zagranicznego, jest należyte dostosowanie sprzedawanego produktu do przyzwyczajeń i zamiłowań lokalnych, nawet w najdrobniejszych szczegółach, nawet w opakowaniu zewnętrznem. Umiejętność takiego dostosowania cechuje przedewszystkiem właśnie drobny warsztat przemysłowy, a najlepszym tego dowodem np. wywóz dokonywany przez drobne a nawet bardzo drobne warsztaty koszykarskie, które potrafiły typy koszyka tak dalece dostosować i zindywidualizować wedle miejsc przeznaczenia, że produkowanie w jednym małym warsztacie koszyka typu hiszpańskiego, kołyski kanadyjskiej i kosza chlebowego czy też bieliźniarskiego stylu U. S. A., należy w naszych Rudnikach do najpospolitszych zjawisk dnia codziennego. Równocześnie jednak większe warsztaty koszykarskie np. czechosłowackie, wykazują wybitny brak umiejętności w szybkiem przeskakiwaniu z typu jednego koszyka na typ odmienny. Dowodów wyższości drobnego warsztatu przemysłowego nad systemem wielkoprzemysłowej produkcji masowej możnaby przytaczać bardzo wiele. Przykład powyższy jako ilustracja powinien wystarczyć.

Ale zastanówmy się, czy istnieje kolizja pomiędzy interesami drobnego i wielkiego przemysłu. W krajach o wysokiej kulturze ekonomicznej wyraźnie zaznaczającej się sprzeczności interesów — poza

sporadycznemi a więc nieistotnemi wypadkami — nie spostrzegamy. O ile bowiem wyłaniają się dziedziny zapotrzebowania gospodarczego, które na mocy wolnej konkurencji ekonomicznej kwalifikują się bardziej do zaspakajania w drodze produkcji drobnoprzemysłowej, to nic dziwnego, że wielki przemysł sam rezerwuje dane działy wytwórczości przemysłowi drobnemu, a sobie wyznacza rolę dostawcy surowca, a ewentualnie w miarę możności najwyżej zaawansowanego półfabrykatu, dla przemysłu drobnego.

Huty czeskie bynajmniej nie biorą za złe średniemu i drobnemu przemysłowi metalurgicznemu w Czechosłowacji, że produkuje np. okucia meblowe i zamki do mebli. Huty czeskie, wiedząc, że ten dział wytwórczości może być lepiej realizowany przez średnie i drobne przemysły krajowe, starały się nawet z biegiem lat przechodzić z rodzaju prymitywnych dostaw surowca, przeprowadzanych dla warsztatów okuć meblowych, na dostawy wyższych rodzajów półfabrykatów. Z początku dostarczały np. sztaby żelaza okrągłego, które drobny warsztat przetwórczy przecinał na dwie części półokrągłe, wiercił w różnych punktach, łamał na części i t. d. Później huty zaczęły dostarczać żelazo segmentowane, t. j. już w walcowniach na odpowiednią formę przecięte i przewiercone. Później żelazo to blankowały i kalibrowały, t. j. obrabiały je odpowiednio zewnętrznie i ściśle co do wymiaru wykańczały, tak, że drobny warsztat przetwórczy mógł już gotowe, półfabrykatowe materjały zakupywać, płacąc więcej wprawdzie za kupiony materjał w hucie, niemniej jednak otrzymując go — w tem stadjum dostawy — taniej, niż przy poprzednio przeprowadzanych dostawach prymitywnego surowca.

U nas, w nastawieniu które cechuje politykę wielkiego przemysłu, jest wprost rzeczą nie do wyobrażenia, by wielki przemysł wprowadzał ułatwienia produkcyjne dla urentownienia i udogodnienia działania przemysłu drobnego. Albowiem wielki przemysł uważa rynek wewnętrzny za domenę dla swej egoistycznej maksymalnej eksploatacji i tem samem, zamiast przez postępy w dostawach surowca i półfabrykatów dla drobnego przemysłu, zwiększać swą własną produkcję, równocześnie rozbudowując możliwości produkcyjne drobnoprzemysłowe — sam stara się pionowo rozbudować, t. j. wyrwać drobnemu i małemu przemysłowi jego pole pracy, a zachować je dla siebie. Ale ponieważ, jak wyżej wykazano, drobny przemysł ma szczególnie w polskiej strukturze ekonomicznej znaczną wyższość w produkcji i kalkulacji nad ciężko poruszającym się wielkim przemysłem — szuka wielki przemysł dróg do zdobycia rentowności w produkcji przetwórczej własnych surowców, nie przez podwyższenie sprawności swych własnych przetwórni, lecz przez wojnę na śmierć i życie z warsztatem przemysłowym średnim i małym.

Metoda walki wielkiego przemysłu z przemysłem średnim i drobnym jest w naszych warunkach zbliżona do metod stosowanych przez przemysły imperjalistyczne w kolonjach. Na temat ten ostatnio u nas dość pisano. Wykazano bez reszty, — a wielki przemysł nie próbował się nawet poważniej bronić — że zamiłowanie przemysłów surowcowych — bo przemysł surowcowy jest w naszych warunkach identyczny z przemysłem wielkim — do szerzenia idei kartelizacyjnej w przemysłach przetwórczych, to tylko droga do eliminacji średniego i małego warsztatu z rynku pracy, to droga do monopolizowania tego rynku w ręku ciężko dyszącej, nierentownej, fatalnie zorganizowanej machiny wielkoprzemysłowej.

Przecież przy zakładaniu pod patronatem przemysłów surowcowych karteli przemysłów przetwórczych — stosowały kartele „kluczowe", to znaczy surowcowe normy kwalifikacyjne, wyraźnie skierowane przeciw małemu przemysłowi. Normy te w ten sposób konstruowano, by warsztat przetwórczy średni i drobny nie wykazywał żadnych „kwalifikacyj" ilościowych. Tym małym zaś warsztatom, nie przyjętym do „kapituły wielkokartelowej" odmawiano dostawy surowca i skazywano je na śmierć, na zagładę. Albo stosowano, względnie stosuje się nadal jeszcze, metodę cen „karnych" wobec średniego i drobnego warsztatu, by „karną ceną" za surowiec obniżyć wyższą sprawność techniczną i komercjalną drobnego warsztatu nad ciężko-poruszającym się, wielkoprzemysłowym warsztatem. Stosowano także i stosuje się naturalnie nadal, sztuczne bazy frachtowe, których wyłącznym celem jest pognębienie średniego i drobnego warsztatu, a rezerwowanie całego rynku wewnętrznego dla pionowych odnóg, niesprawnych, wielkoprzemysłowych kreacyj przetwórczych.

Gdyby jednak abstrahować od egoistycznego rozpędu placówek wielkoprzemysłowych w kierunku skolonizowania rynku wewnętrznego, to jakże łatwo wyobrazić sobie ścisłą kolaborację przemysłów wielkich z przemysłem średnim i drobnym. Przecież przemysł mały, to z istoty swej nic innego jak naturalne uzupełnienie, jak dalszy ciąg wielkiego przemysłu tworzącego surowce i półfabrykaty. Przecież przemysł średni i drobny, to największy, najpewniejszy i najodpowiedniejszy odbiorca wytworów wielkoprzemysłowych. To przecież, ekonomicznie rzecz rozpatrując, właściwy propagator wytwórstwa wielkoprzemysłowego, wprowadzający to wytwórstwo na rynek w formie dostosowanej do potrzeb i wymogów tego rynku.

Ze zrozumienia tego faktu płynęło, że naprzykład wielkie przędzalnie zagraniczne urządzały zupełnie bezpłatnie małe warsztaty tkackie przedsiębiorcom, co do których miały przekonanie, że będą oni na podarowanych im tkalniach przetwarzać przędzę wyrabianą właśnie w wielkich fabrykach. W ten sposób bowiem wielkie przędzalnie tworzyły sobie za pośrednictwem drobnych przemysłów tkackich najdoskonalszych pionierów swej wytwórczości przędzalniczej, w ten sposób zdobywały rynek. Tosamo zresztą widzimy nawet u nas, jeśli idzie o przemysły, nie mające ani przywileju ani możności monopolizowania rynku wewnętrznego: wiemy i widzimy, że wielkie browary urządzają własnym sumptem rozlewnie piwa i bufety, aby umożliwić sprzedawcom, czyli handlowym przetwórcom swego produktu, docieranie do konsumenta, propagowanie ich wyrobu.

Coby było gdyby nagle nasze browary, skartelizowawszy się na wzór wielkich przemysłów surowco-

wych, postanowiły toczyć walkę z bufetami i z szynkarzami, z chłopcami roznoszącymi butelki piwa po dworcach kolejowych — i oświadczyły niemniej buńczucznie jak zdecydowanie, że piwo sprzedawane będzie li tylko loco parytetowa stacja jednego ze skartelizowanych browarów, że ten kto chce pić piwo w Brześciu nad Bugiem a nie w Okocimiu, musi poza różnicą frachtową opłacić jeszcze dodatkową nadwyżkę karną, lub że te miejscowości, które mało piwa konsumowały, znów za karę, wogóle piwa nie otrzymają — z braku „kwalifikacyj ilościowych!"

Rzecz wydaje się nieprawdopodobna. A jednak, jeśli idzie o podstawowe surowce przetwórcze, np. o żelazo, rozgrywa się to nieprawdopodobieństwo w całej swej potwornej okropności na oczach naszych, w kraju naszym — i nie wywołuje większego zdziwienia. Ale już o kilka kroków poza granicą polską, w Czechach, w Austrji ,w Niemczech, jednem słowem wszędzie, widzimy w przeciwstawieniu do stosunków jakie panują u nas między wielkim przemysłem a próbującemi się rozwinąć drobnemi warsztatami — ścisłą kolaborację. W Sollingen w Niemczech, w Remscheid, czy w Styrji w Austrji — wielkie przemysły surowcowe urządzają na swój koszt warsztaty średnio i drobnoprzemysłowe, posyłają do tych warsztatów własnym kosztem opłacanych instruktorów, rozszerzają je, inwestując w nich na długoterminowe spłaty najnowocześniejsze maszyny i przyrządy.

Kolizyj ustrojowych między wielkim a małym przemysłem zasadniczo niema. Podobnie jak niema rzeczowych sprzeczności w interesach hurtu i detalu w handlu. W warunkach jednak specjalnych, jakie wytworzyły się w Polsce, gdzie przemysł wielki — surowcowy z samego założenia swego — wyodrębnił się z całości gospodarstwa narodowego, gdzie przemysł wielki nie chciał traktować swej działalności jako obliczonej na dłuższą metę, jako ciągłej, jako tem samem konstruktywnej, lecz chciał traktować swą działalność i z uporem realizował ją jako doraźną, jako działalność która w bliskim lub jeszcze bliższym czasie może ulec przerwie — chociażby wskutek niewypłacalności wielkoprzemysłowego przedsiębiorstwa — w warunkach naszych, gdzie przemysł wielki nastawił się na inkasowanie jednorazowego dochodu, zupełnie jak gracz w ruletę, który wszystko stawia va banque — było rzeczą prostą, że przemysł surowcowy niszczył przemysł przetwórczy, że przemysł wielki uważał za swego naturalnego wroga przemysł średni i drobny. Albowiem przemysł średni i drobny nie był, w wytworzonej przez przemysł wielki sytuacji gospodarczej, potrzebny temu ostatniemu jako dalej sięgająca kontynuacja jego procesów produkcyjnych.

Dlatego też nic dziwnego, że polityka gospodarcza naszych wielkich przemysłów, polityka prowadząca najkrótszemi drogami do maksymalnego skurczenia rynku wewnętrznego — musiała doprowadzić do gremjalnego załamania się przedsiębiorstw wielkoprzemysłowych z momentem zwrotnej fali konjunkturalnej. Wielkie przemysły poprzez politykę ekspropriacyjną, politykę dewastacji rynku wewnętrznego, realizowaną przez ich organizacje kartelowe, zdołały wytrzebić z polskiego rynku wewnętrznego wszelkie rezerwy kryjące się w chłonności tego rynku bądź za pośrednictwem przetwórstwa przemysłowego, bądź za pośrednictwem samej konsumcji.

Stąd powszechne zjawisko krachów wielkoprzemysłowych, w fazie dekonjunktury — u nas w kraju, gdzie wielkie przemysły korzystały zawsze i korzystają nadal z oranżeryjnych warunków działania, z przywilejów najwyższych cen, gdzie naskutek kartelizacji wielkie przemysły wyzbyły się przecież w zupełności jakiegokolwiek ryzyka kredytowania towarowego.

Typowym przykładem dla ustosunkowania się przemysłów wielkich do problemu przetwórstwa, a więc do kwestji rozwoju przemysłu średniego i drobnego w Polsce — są dzieje wzlotu i upadku koncernu surowcowego, „Wspólnota Interesów". „Wspólnota Interesów", a raczej dwa wielkie przedsiębiorstwa o charakterze spółek akcyjnych, przynależące początkowo każde z osobna do branżowego ośrodka dyspozycji, znajdującego się poza granicami politycznemi Polski — spełniały wspólny cel: eksploatowały bezwzględnie i bez skrupułów polski rynek wewnętrzny, zdążając przez objęcie gestji w kartelach surowcowych do całkowitego wyjałowienia polskiego przetwórstwa metalowego z prywatnej inicjatywy — poto by móc ułatwić swym centralnym jednostkom przemysłowym w Niemczech możność tem łatwiejszego wdzierania się na polski rynek z tandetą, z „szundem eksportowym", produkowanym w specjalnych działach wywozowych przemysłu niemieckiego dla krajów kolonjalnych, dla Chin, dla Mandżuka... i dla Polski. Pocóż było dwóm przedsiębiorstwom surowcowym, grającym ręka w rękę przy pokonywaniu przetwórstwa w Polsce i przy tarasowaniu dróg dla polskiego eksportu, prowadzić dwie oddzielne jednostki, mogące komunikować się z sobą tylko na jawnych konwentyklach kartelowych? Pomieszano talję kart, czyli akcji między Królewską i Laurą i między Katowicką Spółką dla Górnictwa i Hutnictwa — i powstała „Wspólnota Interesów". Ta, flickowska „Wspólnota Interesów" przedewszystkiem zdołała oddanymi sobie, zaufanymi ludźmi poobsadzać jednostki organizacyjne, mające wpływ na formowanie się obrotów wewnętrznych i zagranicznych polskich surowców kluczowych. Tym sposobem koncern Flicka postarał się przez: primo kartelizację głównych surowcowych przemysłów w Polsce zdobyć wpływ nietylko na własne przedsiębiorstwa, ale na całość polskiej produkcji surowcowej; sekundo przez obsadę decydujących stanowisk w organizacjach kartelowych zdobyć wpływ na kierunek polityki handlowej przez całość krajowych przemysłów surowcowych w Polsce realizowanej. Ale, jak się rzekło, podcinanie korzeni rynku wewnętrznego, niedopuszczanie do rozwoju przemysłów małych i średnich tj. przemysłu przetwórczego, były podcinaniem gałęzi, na której rozsiadł się wygodnie ciężki aparat giganta przemysłowego. Gałąź załamała się. Nastąpił krach „Wspólnoty Interesów". Przyszedł zarząd sądowy. I oto rozpoczyna się akt drugi dramatu wielkiego koncernu surowcowego.

Zarząd sądowy zdobył się — trzeba mu to przyznać — na spolszczenie obsady personalnej w organizacjach koncernu. Ale samych organizacyj, ale

wiązadeł, ale węzłów skomplikowanie powiązanych przez inspiratorów z Berlina i Düsseldorfu, bynajmniej nie rozwiązał. Konstrukcja Wspólnoty pozostała ta sama za czasów zarządu sądowego, jaką była za najlepszego okresu panowania Flicka. Dziś, kiedy zarząd jest zniesiony, a Wspólnota przechodzi w ręce narodowego kapitału polskiego, trzeba to wyraźnie powiedzieć — Wspólnota w okresie przeszło dwu lat zarządzania jej przez, być może ożywianych najlepszemi intencjami polskich zarządców sądowych, kontynuowała mechanicznie politykę, którą narzucili jej przedtem dysponenci obco kapitałowi. Oskarżenie wydaje się być bardzo silne. A jednak rzecz jest prosta i naturalna, jeśli wglądniemy w strukturalny rozłam, jaki zdołał w polskiem gospodarstwie zaistnieć między funkcjami przemysłu wielkiego a istotnemi potrzebami gospodarstwa narodowego, a kardynalnemi interesami rozwojowemi przemysłu średniego i drobnego. „Wspólnota Interesów", wprzągnięta raz w okresie Flicka w galopujący rydwan polityki kartelowej, orzącej polski grunt konsumencki do samego dna naciskiem wysokich cen, naciskiem polityki kasującej całkowicie kredyt towarowy, anty przemysłową taktyką ukrytą w sztucznych bazach frachtowych i karnych cenach, nastawieniem na pionowe rozbudowywanie się jej wewnętrznych warsztatów mechanicznych z wyraźną szkodą dla całego polskiego przetwórstwa — „Wspólnota Interesów", po objęciu jej kierownictwa przez polski zarząd sądowy, nie potrafiła przeprowadzić dostatecznej zmiany. Zmiana ta polegać była powinna na przełamaniu kierunku antyprzemysłowego, na wprowadzeniu nowego ducha, ducha bardziej społecznego i bardziej obywatelskiego do biur karteli sprzedaży, sprawujących właściwą gestję handlową w całym polskim przemyśle surowcowym, a więc także w przemysłach objętych przedsiębiorstwami Wspólnoty. To zadanie przed nową, zreogarnizowaną „Wspólnotą" nadal stoi jako pole dla akcji o wyjątkowem znaczeniu.

Dostosowywanie form gospodarowania polskiego do wyłącznych potrzeb placówek wielkoprzemysłowych, wymaga naturalnie nietylko samego faktycznego sprawowania rządów na rynku, co wielki przemysł przecież w Polsce zdołał bez reszty osiągnąć — ale wymaga również odpowiedniej możliwości w urabianiu terenu społeczno-publicznego i w przystosowywaniu opinji do panujących w gospodarstwie stanów faktycznych.

Dlatego to wielki przemysł nie szczędził ani kosztów ani trudów, by uzyskać decydujące wpływy na organizacje publiczno - prawne, przedewszystkiem na izby przemysłowo - handlowe. Po zdobyciu zgoła nieproporcjonalnego wpływu w izbach przemysłowohandlowych i w Związku Izb, po całkowitem skoordynowaniu polityki samorządu przemysłowo - handlowego z polityką i celami centralnej organizacji lewjatańskiej — postarał się wielki przemysł w Polsce o to, by jego związki branżowe uzyskały właśnie za pośrednictwem izb przemysłowo - handlowych gros kompetencyj, z założenia samego właściwie neutralnemu samorządowi gospodarczemu przynależnych. Dlatego to obserwowano w Polsce i obserwuje się nadal, zdałoby się dziwne zjawisko, — że interesy reprezentowane przez organizacje gospodarcze czy gospodarcze instytucje publiczno - prawne, bardzo odbiegają od istotnych interesów i potrzeb gospodarstwa, pojętego jako całości.

Sfery rządowe są stale i metodycznie za pośrednictwem instytucyj, które powinny być objektywnymi reprezentantami gospodarczego interesu w znaczeniu społecznem — informowane przedewszystkiem o dążeniach i postulatach nielicznych przedsiębiorstw wielkoprzemysłowych. Stąd w Polsce wieczne kolizje między tem, czego faktycznie chce najszersza warstwa średniego i drobnego przemysłu, przemysłu mającego wielkie szanse istnienia i rozwoju, a tem co o potrzebach i o położeniu tego przemysłu mówi i pisze niejednokrotnie jego oficjalna reprezentacja, pracująca dla dobra zorganizowanych wielko przemysłowych placówek, umiejących dla ochrony swego interesu posłużyć się para - publicznemi instytucjami.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wielki przemysł może mieć sporadycznie, jednorazowo, w pewnych wypadkach odmienne interesy od przemysłu średniego i drobnego. Ale wielka, długodystansowa polityka gospodarcza wyznacza wspólny kierunek i wspólne cele a więc i wspólną pracę tym wszystkim odmianom przemysłu należącym do jednego gospodarstwa narodowego .Jak jednak tę ideę społeczno-gospodarczą, to naświetlenie własnych interesów, *z szerszego punktu widzenia* zaaplikować naszemu wielkiemu przemysłowi? Wydaje się, że jest sposobność właśnie obecnie. Przejmowanie bowiem wielkich placówek przemysłowych, szczególnie placówek produkcji surowca, przez kapitał państwowy — daje daleko posuniętą możność dla wyłamania polityki wielkoprzemysłowej z ciasnego kręgu metod kolonjalnych. Daje możność do zbliżenia się warsztatów wielkiej i największej produkcji, chociażby przez własne świadome swego celu ogniwa wymiany, do małego i średniego przemysłu jako ogniwa odbiorczego. Wielki przemysł toczy niestety z małym przemysłem w Polsce wojnę w permanencji. Byłoby postępem najwyższego rzędu, gdyby fakt przejęcia dużych placówek wielkoprzemysłowych przez kapitał państwowy, przyczynił się do spacyfikowania stosunków na froncie polskiego przemysłu.

ANTONI WIĄZ

„REWOLUCJA FRANCUSKA"

Zmiany gospodarcze i społeczne we Francji a przedewszystkiem, nastrój, w którym się dokonywują, skłania do przypuszczeń, że w kraju tym powstaje wielki ruch społeczny.

Pozwoliliśmy sobie w tytule na cudzysłów. Bo też nie mamy zamiaru mówić o „tej z 1789-go". Jakkolwiek to, co dzieje się we Francji w 1936-ym, przypomina — mutatis mutandis, oczywiście, — to, co przekazuje nam historja tego kraju z przed nieomal półtora wieku. Francja przechodzi w tej chwili niewątpliwy wstrząs społeczny. Wstrząs równie silny jak niespodziewany — nawet przez najwytrawniejszych znawców kombinacyj partyjnych z izby deputowanych. Bo też ster faktów od kilku miesięcy już nie znajduje się w Palais Bourbon. Tradycyjna równowaga polityczna tego najbardziej parlamentarnego na kontynencie kraju, równowaga oparta zawsze o kombinację partyjną, względnie umiarkowanego społecznie a przecież lewicowego stronnictwa „radykałów społecznych" z partjami bądź prawicowemi, bądź centrowemi, uległa ostatnio strzaskaniu. Punkt ciężkości przesunął się na lewo. Radykali są już tylko skrajnie prawem skrzydłem grupy rządzącej — skrzydłem umiarkowania i hamulców. Rządzi partja socjalistyczna. Ale przez to samo rządzą socjalistyczne związki zawodowe zgrupowane w Generalnej Konferencji Pracy (C. G. T.). Tu leży ośrodek dyspozycji obecnej władzy państwowej we Francji. Postać pana Jouhaux wyrasta ponad cały gabinet.

Nie w tem, oczywiście, leży sedno rzeczy. Rządów socjalistycznych widzieliśmy po wojnie w Europie już kilka. Pod tym względem zatem francuski nie jest bynajmniej żadnym wyjątkiem. O wiele ważniejsze natomiast jest to, iż wypadki, jakie jego rządzeniu towarzyszą (nie można nawet powiedzieć, iż zostały one przezeń wywołane...) zdają się w tej chwili przerastać go całkowicie. Wspomniana powyżej rola C. G. T. jest tylko jednym z aspektów całego zagadnienia — i to aspektem formalnym. Merytorycznie zagadnienie jest o wiele bardziej skomplikowane.

Każdy nieuprzedzony obserwator stwierdzi dziś, że Francja ogarnięta jest w tej chwili jakimś ruchem o charakterze społecznym. Jakim? Odpowiedź wypada paradoksalnie: niewiadomo jakim... Istnieje w tym kraju nastrój, który doskonale możnaby określić jako nastrój przed - rewolucyjny a nawet — rewolucyjny. Czy należy stąd wnioskować, że *napewno* rozegra się we Francji rewolucja społeczna? Bynajmniej. Nie jest to wykluczone — ale też bynajmniej nie jest przesądzone. Co jest powodem tego nastroju — czy sprawy polityczne, czy gospodarcze? Na dobrą sprawę trudno na to odpowiedzieć. Kto nim kieruje, kto w t. zw. froncie ludowym gra pierwsze skrzypce — czy partja socjalistyczna, czy komuniści, czy związki zawodowe? Wiadomo, że te ostatnie *w tej chwili* wywierają na posunięcia rządowe duży wpływ. Ale czy są one duchowym kierownikiem ruchu, to bynajmniej nie jest stwierdzone. Dalej: czy chodzi w tym ruchu o doprowadzenie do komuny. czy też tylko o wielki społeczny „krok naprzód", czy może ani o jedno, ani o drugie, a tylko o odruch protestu przeciwko obecnemu stanowi rzeczy? Odpowiedź prosta jest na to wszystko niemożliwa. A więc...

* * *

...A więc trzeba sobie powiedzieć od samego początku, iż to wszystko, co się dzieje we Francji, jest dla postronnego obserwatora do wytłomaczenia *bardzo trudne*. Prognozy o dużym procencie prawdopodobieństwa postawić niewątpliwie wogóle nie sposób. Ale można wyłuskać, kto wie, kilka obserwacyj, które posłużą do łatwiejszego wyrobienia sobie zdania na temat ogólnego charakteru przemian francuskich.

Najprzód jedna uwaga natury ogólnej. Dlaczego wszystko to, co się dzieje we Francji, jest tak trudne do określenia? Już sama odpowiedź na to pytanie powinna nam wiele wyjaśnić. Naszem zdaniem bowiem, trudność syntetycznego ujęcia wypadków francuskich leży w fakcie, iż *nie przypominają one niczego* z tych ruchów społecznych, jakich byliśmy i jesteśmy świadkami na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia. We francuskim ruchu społecznym — jeśli go porównywać z komunizmem rosyjskim, faszyzmem włoskim, hitleryzmem niemieckim — ba, nawet „rooseveltyzmem" w U. S. A. — odmienne jest wszystko: przyczyny powstania ruchu, charakter jego rozwoju, a nawet ‚że użyjemy tu tego wyrażenia, poziom jego „treści społecznej"...

Zacznijmy od przyczyn powstania. I już odrazu natrafiamy na wielką trudność. Albowiem niema objektywnych (w naszem zrozumieniu przynajmniej) przyczyn dla tego prostego faktu, że „front ludowy" zdobył przy ostatnich wyborach decydującą większość w parlamencie i że zwycięstwo to wytworzyło ten właśnie rewolucyjny nastrój, o którym wspominaliśmy na wstępie. Dla zwycięstwa komunizmu w Rosji pracowało hasło natychmiastowego pokoju. Faszyzm wyrósł w chwili, gdy paliły się fabryki, mordowano inżynierów, głodowały miasta a kraj cały pogrążał się w rewolucyjnym chaosie. Cokolwiekby mówiono o hitleryzmie, to niewątpliwie wyrósł on na owych sześciu miljonach niemieckich bezrobotnych w 1932 r. Kiedy Roosevelt rozpoczynał swoją „akcję społeczną", było w Stanach ze szesnaście miljonów bezrobotnych, kilkaset banków zamkniętych w obliczu bankructwa i rozpoczynająca się rewolta farmerów. Wszystkie te ruchy miały zatem jakieś *uzasadnienie,* przemawiające każdemu z nas bezpośrednio i odrazu do przekonania.

A we Francji? We Francji lewica doszła do władzy z powodu, jak się mówi potocznie, kryzysu i polityki deflacyjnej prowadzonej przez poprzednie rzą-

dy. Istniało niewątpliwie wielkie powszechne niezadowolenie ze skutków kryzysu. Poziom spożycia obniżył się niewątpliwie. Bezrobocie sięga pół miljona głów. Rolnictwo nie ma dostatecznego zbytu. Wszystko to prawda. Ale (i tu nie chcemy czytelnika nużyć niepotrzebnym materjałem cyfrowym) wszystkie te nieprzyjemności w polskiej, niemieckiej, włoskiej czy amerykańskiej skali muszą wydawać się niesłychanie nikłe .Jeśli bezrobotny we Francji pobiera nieomal bez ograniczenia czasu 15 fr. (przeszło 5 zł.) dziennie zapomogi, to nawet przy poziomie cen francuskich nie jest to jeszcze głód: jest poprostu wielki niedostatek — i tyle. Jeśli wielkie magazyny strajkują dlatego, że młoda dziewczyna ekspedjentka (za istotnie bardzo ciężką pracę...) ma 700 fr. (ok. 245 zł.) miesięcznie, to również nie jest dla nas zupełnie zrozumiałe. Jeśli kelner w kawiarni uważa, iż „powinien" zarabiać 2000 fr. miesięcznie, to możemy wprawdzie mu tego z głębi serca życzyć, ale nie możemy *objektywnie* uznać, że dzieje mu się krzywda, jeśli zarabia nieco mniej. Przykładów takich można mnożyć bez liku. Doprowadzają one wszystkie razem do wniosku, że przyczyny, jakie doprowadziły do przewrotu (tak — przewrotu...) we Francji, są jakieś inne niż we wszystkich innych krajach, gdzie przewroty ostatnio się odbywały.

Przewrót francuski jest przewrotem, powiedzielibyśmy, „arystokratycznym". Jest tym, o którym uczyły nas teoretyczne prace twórców idei socjalistycznej w ubiegłym stuleciu. Jest tym — ale nie jest takim, o jakim wówczas myślano. Przewrót francuski uderza wyraźnie zupełnie w podział dochodu społecznego Francji, uważając, iż podział ten jest niesprawiedliwy. Niesprawiedliwy nie dlatego, że „proletarjat jest wyzyskiwany przez „burżuazję", ale dlatego, że pewne klasy mają poprostu zbyt wiele w porównaniu z klasami innemi. Ci, którzy głosowali we Francji przy ostatnich wyborach na listy socjalistyczne i komunistyczne, nie mają nic wspólnego naogół z tem, co zwykliśmy za Marxem nazywać „proletarjatem". Na listy komunistyczne głosowali np. chłopi, a więc klasa notorycznie zamożna, z tego tylko powodu, że istnieje „mévente" produktów rolnych — że za produkty te uzyskuje się stosunkowo niskie ceny. Wyborczy program komunistyczny przewidywał jako maksymalne natężenie działania... opodatkowanie majątków powyżej 300 tys. fr. (105 tys. zł.). Niższego kryterjum nie można było wybrać, bo „gros" wyborców byłoby bezpośrednio i z własnych interesów przeciwne... Robotnik francuski strajkując walczy nietylko o lepszy zarobek — bo różnice są stosunkowo niezbyt dlań wielkie (jakkolwiek, jak zobaczymy, zabójcze dla kalkulacji przemysłowej), ale w imię haseł, o których *naprawdę* pokrzywdzone proletarjaty innych krajów wcale jeszcze nie myślą. Ktoś, kto włożył sam tylko kapitał w fabrykę—słyszy się na wiecach robotniczych—nie może mieć wyłącznego prawa własności przedsiębiorstwa. Należy ono w równej przynajmniej mierze do tych, którzy kładą weń swą pracę — całe swoje życie. Przemysł wojenny, którego jedynym klijentem jest państwo, powinien być upaństwowiony... Robotnik poza pracą ma prawo do rozrywki... Polityka pieniężna państwa nie może zależeć od oligarchji finansowej itd. itd. itd.

Krótko mówiąc, „arystokratyzm" przewrotu społecznego we Francji, tak obcy, tak na pierwszy rzut oka niezrozumiały dla nas wszystkich, którzy rozumiemy borykanie się z *prawdziwą* nędzą, z *prawdziwym* kryzysem, którzy marzymy o wzroście dochodu społecznego wogóle, odkładając (gdyby było można...) troski o formułę jego podziału na później, polega na tem, iż francuski ruch społeczny jest po raz pierwszy w dziejach ruchem, odbywającym się w społeczeństwie bogatem i o stosunkowo równomiernym podziale dochodu społecznego. To też i charakter ruchu tego jest (chwilowo przynajmniej) odmienny od wszystkich innych. Francuski ruch społeczny zamyka się chwilowo w ramach legalności. Nic się dotychczas nie dzieje wbrew prawu, wbrew konstytucji, wbrew kodeksowi cywilnemu. Być może, że dojdzie do rewizji poszczególnych ustaw. Ale do rewizji legalnej. Wbrew temu, co się normalnie mówi o „utopijności" haseł socjalistycznych, we Francji — ale też chyba tylko we Francji i w nielicznych podobnych jej krajach — nie są one znów tak bardzo utopją. Na przeszkodzie stoi im jednak zagadnienie olbrzymie — zagadnienie gospodarcze.

* *
*

Na zagadnieniu gospodarczem francuski ruch społeczny może runąć całkowicie. W naszem przekonaniu należy pod tym względem być raczej pesymistą niż optymistą. Nie dlatego, aby *zawsze* reformy socjalistyczne musiały w państwie nawet bogatem doprowadzić do krachu. Bynajmniej. Ale *moment* tych reform jest we Francji wybrany jaknajfatalniej. Francja i tak jest krajem o najwyższych kosztach produkcji z krajów o wolnym obrocie pieniężnym. Reformy koszt ten silnie wzmogą. Indeks cen we Francji idzie nieprzerwanie w górę. Olrzymia pozycja dodatnia francuskiego bilansu płatniczego: turyzm — musi z konieczności zamierać. Druga wielka pozycja dochodowa: eksport luksusowy — również. Cały zresztą przemysł francuski wstrząśnięty jest ostatniemi ustawami społecznemi w posadach. Niewiadomo, jak je poszczególne gałęzie jego wytrzymają. Może dojść do dalszego odpływu złota, do zachwiania się franka... Wówczas — dwie drogi: albo ograniczenia dewizowe albo dewaluacja... Cała nauka ekonomiczna Francji krzyczy o tę drugą. Ale rząd *nie może* ustawowo obniżyć wartości franka. Podpisuje temsamem na siebie wyrok śmierci w opinji mas, które *wszystkie* mają oszczędności.. Dlatego też znak zapytania, co do tego, jaką drogą pójdzie polityka gospodarcza Francji, o ile cały program jej przedstawiony przez ministra finansów, Vincent - Auriol'a, się *nie uda*, jest nierozwiązalny.

Ale dlatego nierozwiązalne jest i zagadnienie dalszych losów całego francuskiego ruchu społecznego. Normalnie wydawałoby się, że istnieją dwie ewentualności: albo program gospodarczy się uda i reformy będą się rozwijać, a wówczas wszystko jest w porządku, albo — program się nie udaje, rząd się wali i do władzy przychodzi ktoś inny. Kto? Prawica? Niema żadnych danych, aby się to stać mogło. W tej chwili te grupy polityczne są zupełnie rozbite i bezsilne. Komuniści? Niewiadomo, bo dotychczas nie wyrażają oni żadnej chęci wchodzenia do rządu, nie biorą za cały program właściwie żadnej odpowiedzialności; wprawdzie popierają go — ale głównie zwracają uwagę na zagadnienie zagraniczne, na odporność

wojskową Francji w obliczu Niemiec hitlerowskich, na sojusz francusko - sowiecki... W dniu święta narodowego, 14-go lipca, defilada wojskowa witana była przez komunistów entuzjastycznem: „vive l'armèe du peuple". Może wreszcie rząd poza-parlamentarny, rząd związków zawodowych, rząd C. G. T. — o tendencjach (jak to wykazują strajki — niejednokrotnie zresztą spontaniczne i hamowane nawet przez centralę) anarcho - syndykalistycznych z typową „action directe", doprowadzającą do rozpaczy komunistów i zwłaszcza koła ściśle - sowieckie, którym oczywiście, o wiele mniej zależy na zrewolucjonizowaniu Francji niż na zachowaniu w tym kraju odpowiedniego porządku wobec sytuacji w polityce międzynarodowej...

Dlatego właśnie daliśmy naszym uwagom tytuł: rewolucja francuska — w cudzysłowie... Być może, że skończy się poprostu na reformach... z 1789 roku. Ale, być może, że sięgnie się do czasów późniejszych, do konwentu, do Robespierre'a. Wybuchnął we Francji — trzeba to sobie dobrze powiedzieć — ruch społeczny o nieuzasadnionych (dla nas...) przyczynach, w momencie konjunkturalnym niekorzystnym dla realizacji jego, skądinąd nieokreślonych dokładnie postulatów nieopanowany dotychczas przez żadne ze stronnictw, które za nim stoją. Powstał pewien *nastrój*, nastrój, który do zwalczenia powinien być, objektywnie rozumując dość trudny. Wydaje się, że rząd obecny upodobnił się nieco do owego ucznia czarnoksięskiego, który rozpętał nadziemskie moce i nie mógł ich potem powstrzymać... Być może, że gospodarczo sytuacja rozwiąże się pomyślnie, a wówczas da nam Francja wspaniały przykład postępu społecznego w kraju bogatym, postępu dokonanego rewolucyjnie — ale bez rewolucji. Jeśli nie, stawiać jeszcze można na przysłowiowy i dotychczas ostatnio nigdy niezawodzący „bon sens" olbrzymiej większości francuskiego społeczeństwa. Albowiem jeśli to jeszcze zawiedzie, będziemy świadkami przemian niezwykle interesujących...

* *
*

Jeszcze kilka słów — pro domo nostra. Kilka słów dla tych wszystkich, którzy według bardzo starych i wytartych frazesów chcieliby widzieć w przemianach francuskich jakiś *wzór* dla naszych własnych potrzeb. Tym trzeba powiedzieć, iż — niezależnie zupełnie od sympatyj czy antypatyj wobec ruchu, jaki ogarnia dziś Francję (a sympatyj można mieć uczuciowo bardzo wiele...) — niema żadnej wspólnej więzi pomiędzy interesami naszych mas pracujących a tem wszystkiem, o co walczy i co zdobywa proletarjat francuski. Jeśli reformy społeczne we Francji zatrącają czemś o nasze interesy, to tylko w sensie niekorzystnym, jako że z konieczności wzmagają francuski protekcjonizm (ochrona wyższych kosztów produkcji) i uniemożliwiają nam w wielu punktach zwiększenie naszego wywozu na ten bogaty i chłonny rynek. żadne frazesy o „międzynarodowej solidarności proletarjatu" nic na ten fakt nie pomogą. Jeśli zaś brać francuskie wypadki jako wzór dla naszych dróg postępu społecznego, to prosimy rzucić okiem tylko na dwie liczby: w 1933 r. francuski dochód społeczny na głowę ludności wynosił ok. 4,800 fr. czyli ok. 1,680 zł. — nasz dochód w tymże roku... niecałe 500 zł. W ciągu ostatnich trzech lat rozpiętość ta, niestety, tylko wzrosła. że pierwszem zadaniem naszej polityki gospodarczej jest przeprowadzenie zdecydowanej korektury podziału dochodu społecznego w Polsce, co do tego — oczywiście — niema wątpliwości. Ale równie niema wątpliwości co do tego, że tak kosztownych metod, jakich używa do tego Francja, my używać — być może, niestety, — nie możemy. Każdy kraj może mieć taką rewolucję, na jaką go stać. Nas na „arystokratyczne", klasyczne rewolucje w stylu teoretyków XIX-ego wieku, na rewolucje pojmowane — i słusznie — jako skutki wykwitu ustrojów kapitalistycznych nie stać napewno.

WALNE ZGROMADZENIE członków „GOSPODARKI NARODOWEJ" Spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie.

Dnia 22 września 1936 r. (wtorek) o godz. 19 min. 30 w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa", Warszawa, ul. Szpitalna 4 m. 18 odbędzie się

DOROCZNE WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW „GOSPODARKI NARODOWEJ"

Spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie
2. Wybór Prezydjum
3. Sprawozdanie za rok 1935
4. Przyjęcie Bilansu oraz r-ku Strat i Zysków
5. Projekt budżetu na rok 1936
6. Wybór Władz Spółdzielni
7. Wolne wnioski

RADA NADZORCZA

(—) Czesław Bobrowski
(—) Kazimierz Sokołowski

Warszawa, dnia 1 września 1936 r.

HENRYK PNIEWSKI

RENTOWNOŚĆ

Warto wiedzieć... o czem się mówi.

1.

Spotykamy się nieraz z tezą normatywną brzmiącą *„Rozwój gospodarczy kraju należy oprzeć na zasadzie rentowności"*, lub też z inną nieco (nie wiemy, czy równoważną poprzedniej) *„Rozwój gospodarczy kraju należy oprzeć na przedsiębiorstwach rentownych"*. Tezy te mają swoich namiętnych zwolenników i przeciwników. Nie możemy się przyłączyć do żadnego z wojujących obozów, gdyż (co ze wstydem wyznajemy) niebardzo rozumiemy, o co chodzi „wysokim stronom walczącym". Szczególne kłopoty sprawia nam zrozumienie w tekstach powyższych terminów: „rentowność" i „rentowny". Postaramy się sens tych terminów nieco wyprecyzować.

2.

Nieraz stawiamy sobie zadanie, polegające na tem, aby sprecyzować sens pewnego terminu (wyrazu, wyrażenia), zaczerpniętego z języka potocznego. Chcemy wówczas w sposób ścisły ująć „mgławicowy" sens tego terminu, nadany mu przez język potoczny. W związku z takiem zadaniem należy uczynić dwa zastrzeżenia:

(a) Nie możemy wogóle *a priori* twierdzić, że możliwe jest sprecyzowanie niejasnego sensu, nadanego rozpatrywanemu terminowi przez język potoczny.

(b) Nie możemy wogóle *a priori* twierdzić, że sens rozpatrywanego terminu można sprecyzować zgodnie z językiem potocznym tylko w jeden sposób. Przeciwnie zachodzi możliwość, że istnieją różne (nierównoważne między sobą) precyzacje, z których każda będzie zgodna z rozumieniem danego terminu w języku potocznym.

Zastrzeżenie (a) nie znajduje, jak się zdaje, zastosowania do tych dwu konkretnych zadań, które postawiliśmy sobie wyżej. Inaczej zgoła przedstawia się sprawa z zastrzeżeniem (b). Ustalimy bowiem dwa różne i nierównoważne sensy terminu „rentowność" i znajdziemy wiele nierównoważnych rozumień terminu „rentowny". Co więcej mamy poważne zastrzeżenia, czy wyczerpiemy w ten sposób zakresy dopuszczalnych, że się tak wyrazimy, rozumień tych terminów.

3.

Weźmy pod uwagę pewien proces gospodarczy, polegający na produkcji lub wymianie. Będziemy rozpatrywać ten proces nie w całej jego rozciągłości czasowej, ale tylko w ramach jednego okresu operacyjnego (np. roku). Nazwiemy „rentownością" tego procesu iloraz, otrzymany z podzielenia wysokości czystego dochodu z danego procesu przez wysokość kapitału w danym procesie zainwestowanego.

Każdy aktuarjusz chętnie (i słusznie) powyższą definicję zaatakuje. Powie nam mianowicie, że definicja ta nie uwzględnia rozkładu uzyskanego dochodu w czasie (np. w poszczególnych miesiącach rozpatrywanego roku), ani zmian, którym podlegać mogła w tym okresie czasu wysokość kapitału zainwestowanego. Zarzut, oczywiście, słuszny, ale dla nas mało istotny. Trudności, o których wspomina aktuarjusz, są najzupełniej usuwalne, jednak tylko przy pomocy pewnych sformułowań matematycznych, których nie przytaczamy, aby czytelników nadmiernie nie nużyć, a komitetowi redakcyjnemu „Gospodarki Narodowej" zbytnio się nie narażać.

Każdy zapewne statystyk zwróci nam uwagę, że obliczenie rentowności (w rozumieniu powyższej definicji) da często w odniesieniu do jednego i tego samego procesu gospodarczego i danego okresu czasu różne, niezgodne między sobą rezultaty w zależności od tego, w jakich jednostkach obliczymy wysokość czystego dochodu i kapitału zainwestowanego (np. w gramach złota, czy też w jednostkach siły nabywczej). Uwaga — słuszna, być może, że stanowi ona interesujący punkt wyjścia dla krytyki naszej definicji. Uwaga ta jest jednak dla nas mało istotna, a to wyłącznie z tego względu, że zamierzamy rozważania nasze w innym kierunku rozwinąć.

Będziemy w dalszych rozważaniach posługiwać się terminem „funkcja". Nie będziemy używać tego terminu w takim sensie, w jakim posługuje się terminem „funkcja" np. biolog (funkcja = czynność), ale posługiwać się nim będziemy w ten sposób, jak matematycy (funkcja = przyporządkowanie jednoznacznie).

Rentowność (w rozumieniu ustalonem przez wyżej podaną definicję) jest funkcją, która przyporządkowuje procesom gospodarczym (rozpatrywanym w okresach jednostkowych) pewne liczby. Podobnie długość jest funkcją, która podporządkowuje figurom geometrycznym pewne liczby. Zauważmy jednak, że funkcja zwana „długością" nie każdej figurze geometrycznej przyporządkowuje jakąś liczbę. Można mówić o długościach odcinków, natomiast figury płaskie, lub bryły nie posiadają długości. Rozpatrzmy teraz zagadnienie analogiczne — czy funkcja zwana „rentownością" przyporządkowuje każdemu procesowi gospodarczemu jakąś wartość liczbową?

Weźmy pod uwagę małe gospodarstwo chłopskie

takie, które wogóle pracą najemną nie posługuje się. Chcemy obliczyć jego rentowność. Musimy w tym celu obliczyć wysokość czystego dochodu. Tutaj już utkniemy. Aby obliczyć czysty dochód musimy obliczyć wpierw wysokość wydatków. Po stronie wydatków znajdujemy pozycję pewnych świadczeń w naturze, mianowicie pracę właściciela gospodarstwa i jego rodziny. Załóżmy jeszcze, że w dostatecznie dużem otoczeniu rozpatrywanego gospodarstwa niema gospodarstw rolnych, posługujących się pracą najemną, niema więc ceny rynkowej tej pracy. W konsekwencji nie potrafimy przeliczyć na jednostki pieniężne pracy właściciela gospodarstwa i jego rodziny. Nie możemy więc obliczyć wysokości łącznej wydatków, a zatem nie obliczymy ani dochodu czystego, ani *a fortiori* rentowności.

Możemy teraz podać przykład, zaczerpnięty z zupełnie innej formacji gospodarczej. Weźmy pod uwagę nowoczesne przedsiębiorstwo przemysłowe, w którem urządzenia mechaniczne odgrywają poważną rolę. Załóżmy, że technika produkowania rozwija się w branży, do której nasze przedsiębiorstwo należy, w sposób gwałtowny, następują serje wynalazków, gruntownie zmieniających metody produkcji. W tych warunkach racjonalna amortyzacja maszyn (obejmująca i ryzyko demodernizacji) staje się poprostu niemożliwa. Czy w takich warunkach można wogóle obliczyć czysty dochód, a zatem i rentowność?

Wprowadziliśmy pewne pojęcie rentowności, zgodne, jak się zdaje, z potocznem rozumieniem terminu „rentowność" i przekonaliśmy się, że pojęcie to posiada znacznie bardziej wąskie pole zastosowania, niż się to zbyt powszechnie przypuszcza.

4.

Jasnem jest, że zdefinjowana w punkcie poprzednim funkcja, zwana „rentownością" przybiera w poszczególnych wypadkach wartości: dodatnie, zerową, ujemne. Uwaga ta ułatwi nam sformułowanie pewnej definicji terminu „rentowny".

Weźmy pod uwagę, tak jak poprzednio, pewien proces gospodarczy, polegający na produkcji lub wymianie, rozpatrywany w ciągu jednego okresu operacyjnego. Będziemy mówili, że proces taki jest rentowny, zamiast mówić, że rentowność jego jest dodatnia.

5.

Dotychczasowa nasza sytuacja przedstawia się napozór dobrze. Zdefinjowaliśmy pojęcie *rentowność* i pojęcie *rentowny*. Możemy się pochlubić pewnemi rezultatami. Chwila zastanowienia wystarcza do popsucia miłego nastroju.

Rozpatrywaliśmy dotychczas procesy gospodarcze tylko w obrębie jednego okresu operacyjnego. Weźmy teraz pod uwagę proces gospodarczy, trwający np. przez większą liczbę lat, rozpatrywany w całej jego rozciągłości czasowej. Mogą między innemi zachodzić wypadki następujące:

(a) rentowność danego procesu jest stale dodatnia,
(b) rentowność danego procesu jest początkowo niedodatnia (zerowa albo nawet ujemna), a następnie stale dodatnia.
(c) rentowność danego okresu jest w pewnych tylko przedziałach czasowych (np. w okresach wysokiej konjunktury) dodatnia, w pozostałych niedodatnia.

Zastanówmy się teraz, jak w nowej sytuacji używać należy terminu „rentowny". Czy proces gospodarczy spełniający warunek (a), lub też (b), lub też wreszcie (c) nazwiemy „rentownym"? Poprzednio podana definicja procesu rentownego nie jest w obecnej sytuacji wogóle stosowalna, gdyż dotyczyła ona procesów, rozpatrywanych tylko w obrębie jednego okresu operacyjnego, a nie — w całej ich rozciągłości czasowej. Sądzimy, że w każdym z trzech wypadków:

(a), (b), (c)

możemy mówić o procesie rentownym i to w zgodzie z intencjami językowemi, tylko że... będziemy mieli do czynienia z różnemi pojęciami procesów rentownych.

Proponujemy zatem stosować terminologję następującą: Będziemy mówili, że pewien proces jest stale rentowny, zawsze i jedynie gdy spełniony jest warunek (a), będziemy mówili, że proces ten jest rentowny karencyjne — gdy (b), wreszcie że proces jest cyklicznie rentowny — gdy (c).

6.

Powróćmy teraz do rozważań, dotyczących procesu gospodarczego, rozpatrywanego w obrębie jednego okresu operacyjnego i do pojęcia rentowności.

Weźmy pod uwagę pewien proces o rentowności zerowej, lub nawet ujemnej, oznaczmy ten proces przez „A". Proces A, zdaniem fanatycznych zwolenników „zasady rentowności", to coś „niezdrowego", słyszymy wtedy nieraz zdanie, „albo panie trzeba wygospodarować zysk, albo wogóle budę zamknąć". Może się jednak zdarzyć, że właśnie to „niezdrowe zjawisko", mianowicie proces A, powiększa czysty dochód z innego procesu (nazwijmy go „B").

Wprowadzaliśmy poprzednio, pozostając w zgodzie z naszemi intuicjami językowemi, pewne pojęcie rentowności. Ponieważ za chwilę postaramy się (również, jak się zdaje, pozostając w zgodzie z tradycją, przekazaną nam przez język potoczny) zdefinjować inne pojęcie rentowności, więc aby uniknąć dwuznaczności będziemy mówili „rentowność bezpośrednia" zamiast „rentowność" (w rozumieniu sformułowanej uprzednio definicji), obecnie zaś wprowadzimy pojęcie rentowności pośredniej.

Przez „rentowność pośrednią procesu A ze względu na proces B" będziemy rozumieli iloraz, będący rezultatem podzielenia przyrostu czystego dochodu, który nastąpił w procesie B, dzięki uruchomieniu procesu A, przez wysokość kapitału zainwestowanego w procesie A.

Jasnem jest, że jeden i ten sam proces gospodarczy wykazywać może zarazem dodatnią rentowność

bezpośrednią i dodatnią rentowność pośrednią. Nas jednak głównie interesuje wypadek inny, gdy rentowność bezpośrednia pewnego procesu A jest niedodatnia, a przytem rentowność pośrednia procesu A ze względu na inny proces B jest dodatnia. Ktoś może się upierać, że taka sytuacja jest „niezdrowa". Nasz oponent będzie uzasadniał swoje stanowisko prawdopodobnie w sposób następujący: poprostu podział dochodu między A i B jest nieprawidłowy, trzeba przez odpowiednią politykę cen przesunąć część czystego dochodu z B na A i wszystko będzie w porządku, zasadzie rentowności stanie się zadość.

Niestety rozumowaniu szanownego oponenta można „coś niecoś" zarzucić. Można do rozważań naszych wprowadzić pojęcie sumy logicznej dwu (lub więcej) procesów gospodarczych. Nie możemy (dla braku miejsca i ze względu na wysoce prawdopodobne wyczerpanie „kontyngentu cierpliwości" czytelnika) zdefinjować precyzyjnie pojęcia sumy logicznej procesów gospodarczych. Musimy tu poprzestać na gołosłownem stwierdzeniu, że

1) pojęcie takie można precyzyjnie skonstruować,

2) pojęcie to posiada w rozważaniach gospodarczych szerokie pole do zastosowań,

3) posiada ono pewną własność formalną, którą można sformułować w sposób następujący: jeżeli X oraz Y są procesami gospodarczemi, to wtedy suma logiczna X + Y jest również procesem gospodarczym.

Zajmijmy się z powrotem naszym „umyślanym oponentem". Sposób postępowania, który nam zalecił, mający na celu usunięcie niezdrowej, jego zdaniem sytuacji, polega na tem, aby zmniejszając bezpośrednią rentowność procesu B uzyskać dodatnią rentowność bezpośrednią procesu A. Weźmy teraz pod uwagę sumę logiczną obu procesów

$$A + B$$

i zastanówmy się nad tem, jak wpłynie przesunięcie proponowane przez naszego oponenta na bezpośrednią rentowność tej sumy. Otóż w pewnych wypadkach może się zdarzyć, że dzięki przesunięciu części czystego dochodu z B na A rentowność bezpośrednia sumy (A + B) zacznie maleć; zatem może zajść taka sytuacja, że dla zadość uczynienia ciasno i doktrynersko rozumianej „zasadzie rentowności" zmniejszamy rentowność globalną.

Zastrzeżenia nasze staną się może bardziej jasne i wyraziste, jeżeli zilustrujemy je przy pomocy konkretnego niemal przykładu.

Niechaj

1) A = działalność gospodarcza kolei państwowych,

2) B = suma logiczna działalności gospodarczej przedsiębiorstw pewnego gospodarstwa narodowego.

Zakładamy przytem, tak jak uprzednio, że

(1) bezpośrednia rentowność A w danym okresie jest niedodatnia,

(2) bezpośrednia rentowność sumy logicznej B jest dodatnia w tymże okresie.

(3) pośrednia rentowność A ze względu na sumę B (również w tym samym okresie) jest dodatnia.

Posiadamy prosty środek na uzyskanie dodatniej bezpośredniej rentowności procesu A: podwyższamy taryfę kolejową. „Zasada rentowności" została zastosowana do A, doktryner jest zadowolony, spełnił swój obowiązek. Wskutek podwyżki taryfy zmaleć może czysty dochód (i rentowość bezpośrednia) procesu B. To nas samo przez się nie niepokoi, przecież zamierzyliśmy właśnie pewne posunięcie w podziale czystego dochodu, tylko, że to co dzielimy według nowego klucza między A i B mogło zmienić swą globalną wartość. Dostatecznie wysoka i dostatecznie nieumiejętna podwyżka taryfy kolejowej mogła zniszczyć kalkulację wielu przedsiębiorstw, których działalność stanowi część składową sumy B. W rezultacie otrzymaliśmy (być może zresztą, że na krótką metę) dodatni czysty dochód z A, czysty dochód z B pozostał dodatni, tylko że czysty dochód z sumy (A + B) zmalał wydatnie. Nieraz nawet zniżka taryfy, pogłębiająca deficytowość A zwiększyć może rentowność bezpośrednią sumy (A+B).

Jako przykładu na A używaliśmy transportu kolejowego. Istnieją inne niemniej dobre przykłady. Przykłady te czerpać można i należy przedewszystkiem z dziedziny tych procesów produkcyjnych, których wytwory znajdują powszechne zastosowanie w gospodarstwie narodowem. Produkcja węgla i żelaza stanowi przykłady najlepsze. Nie widzimy powodu, aby należało się cofać przed zbadaniem tych przykładów. Trzeba je zbadać odważnie, chociażby nawet rozważania tego typu miały doprowadzić do wniosków, że pośrednia rentowność ciężkiego przemysłu odgrywa bardziej doniosłą rolę dla całości gospodarstwa narodowego niż jego rentowność bezpośrednia, że przemysł ten w najlepszym razie może być w Polsce karencyjnie lub cyklicznie rentowny. Nie widzimy również nieszczęścia i w tej ewentualności, jeżeli rozważania tego typu doprowadzą do wniosków natury... organizacyjnej, jeżeli dojdzie się do wniosku, że niezbędna jest w Polsce nacjonalizacja ciężkiego przemysłu.

U W A G I

U NAS INACZEJ...

Oto parę zupełnie drobiazgowych i powierzchownych spostrzeżeń, uczynionych bezpośrednio po powrocie do kraju (i kraju dotyczących) z parotygodniowej podróży przez Austrję, Czechosłowację i Niemcy.

1. *Bieda.* Widać ją we wszystkiem, w stanie dróg budynków mieszkalnych, w ubraniu ludności, w urządzeniu miasteczek, nasileniu ruchu samochodowego etc. etc. Spostrzeżenie, które — niestety — nazwać można normalnem, stan rzeczy o którym z dawna było doskonale wiadomo. Bieda jest tłem wszelkich innych wrażeń. Tłem o wprost niespodzianej wyrazistości, przez jaskrawość swoją zmuszając do refleksji, że niema i niemoże być żadnych trwałych, powiedzmy przyrodniczych, przyczyn, usprawiedliwiających tak bardzo głęboką różnicę poziomu zamożności u nas i u sąsiadów. Nasuwa się pytanie przykre w najwyższym stopniu: jakież wnioski nasuwać może ten stan rzeczy obcokrajowcowi, dla którego terytorja po jednej i drugiej stronie granicy są tylko objektem obserwacyjnym, a nie działają nań żadne momenty uczuciowe?

2. *Ludzie.* Widzi się ich na tem tle biedy, dopasowanych do niej, powiedziećby można pogodzonych z nią. Może to jest już rezultat przemyśleń i informacyj niezwiązanych z podróżą, w każdym razie albo się narzuca albo się potwierdza brak zapału, brak tego, co należałoby nazwać wyświechtanem i niesłusznie ośmieszonem słowem „radosna twórczość" — i to tembardziej, że w Niemczech owa radosna twórczość rzuca się w oczy na każdym kroku. Stan psychiczny naszych rodaków nie jest skutkiem biedy jest jej *przyczyną.* Takie się odnosi wyraźne i nieodparte wrażenie, wprost z oka do mózgu bez udziału żadnych bardziej skomplikowanych rozumowań. Gdyby uczynić przypuszczenie, że mieszkańcy Rzplitej mają mniejszą ilość zwojów mózgowych i słabsze muskuły niż ich sąsiedzi — wszystko byłoby jasne i wytłomaczone. Ale wiadomo, że tak nie jest. To co się widzi nie znajduje wytłomaczenia ani w cechach przyrodniczych kraju, ani w cechach naturalnych pojedyńczych jego mieszkańców. Narzuca się więc myśl, że wytłomaczenie tkwi w formach życia *gromady,* skoro znaleźć go nie można ani w przyrodzie, ani we wchodzących w skład gromady indywiduach. Różnorodne drobiazgi umacniają w tem mniemaniu.

3. *Dzieciak przebiegł przed samochodem.* Nie było żadnego niebezpieczeństwa, ani żadnej straty, rzecz napewno niegroźna, ale napewno niepożądana. Jesteśmy przyzwyczajeni do tej drobnej swawoli — ale tam, u sąsiadów jej niema. Natomiast ogromnie często dzieciak tamtejszy kiwa ręką i rzuca pozdrowienie. Dzieciaki tu i tam są jednakowe — nasz jest *nienauczony.* Nie wpojono, temu szkrabowi poczucia, że jest cząstką jednej całości, do której należy i on i szosa i pędzący po niej samochód i wszyscy oraz wszystko naokoło. Człowiek się chwyta na myśli, że właśnie tutaj, w swoim kraju, mniej chętnie niż na obczyźnie, albo i wcale nie podwiózłby szkraba idącego rano z książkami do szkoły.

4. *Wozy stoją nieporządnie na rynku miasteczka.* Rynek jest duży, wozów mało. Nic to nikomu nie przeszkadza, że ustawione zostały zupełnie chaotycznie. Ale taki stan rzeczy zachęca wprost, aby np. wyrzucić papier na bruk, a maszynę postawić byle jak, pod kątem do chodnika, co na myśl nie przyszłoby w jakiemś tyrolskiem miasteczku, mającem tak samo duży rynek z tą samą skromną ilością prawidłowo ustawionych wozów.

5. *Mocne, nowe domki są brzydkie.* Pobudowano je w wykonaniu reformy rolnej, są murowane, stoją pośrodku dobrze skomasowanego terenu, ten kto je robił dobrze wypełnił swój obowiązek, ale oprócz obowiązku nie włożono w budowę tych domków *chęci* uczynienia ich przyjemnemi, bez kosztów, przez sam tylko wysiłek myśli przejaznej dla tego, kto tam ma mieszkać. Pomiędzy budującym i przyszłym mieszkańcem była ta sama relacja — albo raczej brak relacji — co między dzieciakiem a automobilistą, ten dom zrobił izolowany ktoś dla izolowanego kogoś, w budowniczym nie było poczucia przynależności do zespołu. Ostatecznie — dom jest solidny, ale dla społeczeństwa mniej jest pożyteczny, niż piękne domki niemieckie.

Zacytowano pięć obserwacyj najbardziej drobiazgowych, dających się różnorodnie komentować. Niewątpliwie, trzeba dużego skoku myślowego, aby z takich ułamków wysnuwać generalne wnioski, czy uważać je za argumentację wniosków. Ale to są tylko *reprezentanci* obserwacyj, jakie się czyni codzień i które właśnie stanowią obraz rzeczywistości.

Wniosek jest, że przyczyny biedy polskiej tkwią w formach życia gromady. Nie *nauczono* nas być czynną cząstką wielkiego zespołu, jak nie nauczono dzieciaka chodzić po szosie. Sprawa poziomu kulturalnego? racja, słusznem też jest, że podnoszenie się tego poziomu iść będzie razem z poprawą warunków materjalnych. Jednak stosunek ten jest odwracalny: wyższy poziom kultury, mianowicie kultury zespołu — to ważki motor postępu gospodarczego. Pozatem — nie koniecznie o kulturę tu chodzi. Kultura to kompleks *pobudek* rządzących człowiekiem, normujących jego działanie — ale te same rezultaty mogą dać inne metody.

Rzecz polega na tem, że formy współżycia społecznego są u nas złe, stwarzają niepotrzebne opory dla wszelkich działań również gospodarczych, a przedewszystkiem zabijają przejawy aktywności. Lepsze formy istniejące gdzieindziej są rezultatem setek lat działania różnych czynników, może przedewszystkiem szkoły. Zapewne w ileśtam lat przyjdzie to i u nas, będzie kultura i ta kultura będzie normą porządkującą współżycie ludzi. Za ile lat? Napewno za *zbyt wiele lat,* napewno ta doskonała i pewna droga jest zbyt długą dla nas. Nienauczonych życia zespołowego można uczyć w szkołach rozkładając naukę na długie lata i zwolna walcząc z powrotnym analfabetyzmem; można, znaczy, zaczynając od kształtowania cech jednostki spowodować, że stworzą one odpowiednie formy zespołowe. Ale można też zacząć od tworzenia form życia zespołowego; metoda może gorsza jednak napewno szybsza. Lepiej jest, aby dzieciak z własnej ochoty nie przebiegał szosy, aby

furmani z własnej ochoty porządnie stali na rynku — ale można dzieciakowi dać w skórę, na furmanów nałożyć grzywnę, bezpośredni rezultat będzie ten sam.

Bieda, jaką się widzi wjeżdżając w granice Rzeczypospolitej, jest zbyt wielka, aby o jej usunięciu można myśleć w skali długich lat. Zastosowanie metod szybkich i bezpośrednich jest koniecznością, gdyż dobre a powolne metody mogą w tych warunkach przestać działać przed osiągnięciem celu. Może to jest ryzykowne, aby uwagi tak generalne budować na tak drobnych fragmentach, niemniej opisane wyżej obserwacje fragmentaryczne wydają się wysoce reprezentatywne, a sugestywności ich, trudno się doprawdy oprzeć.

w. j.

ZATRUDNIENIE — INWESTYCJE

Walkę z bezrobociem prowadzimy od chwili powstania Państwa. Jednakże powiedzmy otwarcie, z wynikiem złym: liczba bezrobotnych nietylko że nie maleje, ale rośnie. A zatem, albo wysiłki w tej dziedzinie są niewłaściwie skierowane, albo zbyt szczupłe [1]).

Na czem polega w najszerszem ujęcia walka z bezrobociem (poza emigracją) i jego skutkami? Zasiłki pieniężne, ubezpieczeniowe, pomoc żywnościowa, w zasadzie zwrotna, wreszcie zatrudnienie bezrobotnych. Ten moment ostatni zaliczamy do walki z bezrobociem; inne mają tylko łagodzić jego skutki.

A więc likwidować bezrobocie chcemy przez zatrudnienie bezrobotnych. Bezrobotny zegarmistrz, tkacz czy górnik sypie wały, kopie rowy; zbyt silnie przypomina to cięcie blachy nożyczkami toaletowemi. Zdzieramy najcenniejszy instrument jakim jest człowiek i mimo dużych nakładów osiągamy nikły rezultat gospodarczy. Bo taka praca nie może być i nie jest wydajna.

Nie może być wydajna, gdyż podstawę dla zatrudnienia stwarza nie uzdolnienie, nie przydatność do roboty, ale kwalifikacja z punktu widzenia opieki społecznej. Wybieramy do pracy osobnika, który potrzebuje pomocy; co więcej, w wyborze robót kierujemy się tym samym elementem, na plan dalszy odsuwając moment celowości gospodarczej.

Tego rodzaju zatrudnienie nie rozwiązuje tragedji bezrobotnego. Polega ona na braku naturalnego tytułu do udziału w dochodzie narodowym, na idącej wślad zatem nędzy, na poczuciu zbędności w społeczeństwie. Zatrudnienie bezrobotnych na organizowanych ad hoc robotach poprawia doraźnie ich sytuację materjalną; tem nie mniej nie jest równoznaczne z uzyskaniem pracy w dziedzinie własnej specjalności, nie oznacza wplecenia w normalny obrót gospodarczy, nie stwarza pozycji socjalnej dla lumpenproletarjusza. To też z punktu widzenia społeczno-politycznego zatrudnienie bezrobotnych nie przynosi długotrwałych efektów, żadnych przesunięć w strukturze społecznej. Zwróćmy uwagę, że grupy zawodowo - bezrobotnych — grupę lumpen - proletarjatu zasila dorastająca młodzież. To też niestety ta destrukcyjna grupa społeczna uzyskuje w Polsce wybitną dynamikę. Oczywiście, wpływu na układ stosunków politycznych nie wywiera — przynajmniej bezpośrednio. Tem niemniej oddziaływa na kulturę społeczeństwa. Rozrost przestęczości, osłabienie więzi społecznej — to niewątpliwie jej dorobek. A poza tem wpływa w stopniu niemałym na fizjonomję klasy pracującej — i to zarówno pracowników fizycznych jak umysłowych. Podrywa więc jej spoistość wewnętrzną, obniża moralnie, łamie godność człowieka pracy. Uderza w najcenniejsze wartości socjalne świata pracy.

Tego niebezpieczeństwa nie usuwa system zatrudniania bezrobotnych. Daje im tylko ulgę — surogat rzeczywistej pracy i pewien udział w dochodzie narodowym. Z punktu widzenia walki z bezrobociem, rozumianej jako usuwanie przyczyn a nie objawów końcowych, na pierwszy rzut oka jest lepszy od systemu zasiłków. Obydwa systemy bowiem szerzej rozrzucają dochód narodowy; pierwszy jednak daje przyrost majątku narodowego. Uderza więc w najistotniejszy brak strukturalny naszego gospodarstwa, w brak kapitałów. Jest to jednak w całej akcji zatrudnienia rezultat dalszy; na plan pierwszy wysuwa się problem zatrudnienia określonych osobników w określonym ośrodku, przy robocie, dającej możliwie duże efekty w bezpośrednim zatrudnieniu. Takie ustawienie zadań powoduje, że wykonywane są nie najpilniejsze inwestycje i w dodatku nieekonomicznie.

Hierarchicznie cel ważniejszy — tworzenie nowych kapitałów, a zatem możliwość trwałego zwiększenia wytwórczości i zatrudnienia, usuwania strukturalnych dysproporcyj w naszym gospodarstwie, istotnych przyczyn bezrobocia, jest przesłaniany przez potrzebę chwili — doraźnego zatrudnienia. Jest to łatanina, która nie pozwala ruszyć z miejsca. I jak wiadomo, nie odnieśliśmy zwycięstwa nad bezrobociem. Niewątpliwie, do walki z nim rzuciliśmy zbyt szczupłe środki. Ale i kierunek ataku nie był najlepiej obrany.

Na szczęście, jesteśmy na zwrocie. Od akcji zatrudnienia przechodzić zaczynamy wyraźnie do akcji inwestycyjnej. Oznacza to możliwość prawidłowego wyboru robót i celowego ich wykonania.

Nie łudźmy się jednak; to nie jest jeszcze wszystko. Jeśli nawet wszelkie środki zużywane obecnie na t. zw. zatrudnienie przeznaczymy na wykonanie najbardziej celowych inwestycyj, jeśli przestaniemy zwalczać bezrobocie przez budowę wytwornych domów wypoczynkowych dla urzędników, parków weekendowych, czy kościołów, a całość będących obecnie w dyspozycji środków przeznaczymy na wznoszenie warsztatów produkcyjnych, niewiele jeszcze zdołamy osiągnąć. Polityka inwestycyjna jest tylko jednym z elementów polityki gospodarczej. Osiągnąć tego rodzaju przesunięcia w strukturze gospodarczej kraju, by włączyć do procesów produkcyjnych wszystkich zdolnych do pracy obywateli można tylko po przez wielkie ofiary, wielkie wyrzeczenia ze strony całego społeczeństwa. I ponadto stworzenie programu przebudowy struktury gospodarczej, którego fragmentem byłby plan inwestycyjny. Wreszcie żelaznej konsekwencji wykonania.

M. Rowski.

[1]) Por. art. Zbigniewa Orskiego p. t.: „Zatrudnieni". Gospodarka Narodowa, zesz. 12/36.

TRWAŁY POSTULAT

Zeszłoroczna zwyżka cen niektórych artykułów hodowlanych była pierwszym krokiem ku poprawie sytuacji rolnictwa. Tegoroczna korzystniejsza sytuacja na odcinku zbożowym wnosi drugi element. Objawy ogólnej poprawy konjunkturalnej na świecie i w Polsce stanowią podstawę do nadziei utrzymania uzyskanego poziomu cen rolnych, i być może rozszerzenia rozmiarów zbytu. Czy przez to przestaje być aktualna polityka, zmierzająca do zwiększenia udziału rolnictwa w dochodzie społecznym, do zrewidowania klucza i metody tego podziału? Czy należy „poganiać" rosnące ceny rolne, czy też raczej zapobiegać ich zwyżce?, czy hamować wzrost obciążeń rolnictwa, a nawet dążyć do dalszej ich redukcji, czy krótko mówiąc utrzymać linję ostatnich lat, czy też uznać, że zadanie polityki gospodarczej w kierunku zwiększenia udziału rolnictwa w dochodzie społecznym jest wyczerpane w tak znacznej mierze, iż pewnych działań możnaby zaniechać, lub je ograniczyć.

Należałoby tu wyraźnie odróżnić kwestję środków i celów. Być może, że są jakieś środki, stosowane na poszczególnych odcinkach, które w dzisiejszej sytuacji możnaby zastąpić innemi metodami, bardziej wydajnemi, lub mniej kosztownemi dla Skarbu. Natomiast nie wydaje się, aby istniały jakiekolwiek powody do rewidowania zasadniczych przesłanek, na których oparta była polityka przymykania nożyc, polityka, dążąca do przywrócenia zachwianej równowagi w podziale dochodu społecznego.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że spośród wielu czynników, określających udział rolnictwa w dochodzie społecznym i poziom jego zdolności nabywczej, większość nie wykazuje tych zmian, jakie widzieliśmy w latach ostatnich na odcinku obsługi długów, i jakie widzimy ostatnio na odcinku cen rolnych. Dochód rolnictwa z pracy zmalał w okresie kryzysu silniej jeszcze aniżeli dochód ze sprzedaży artykułów rolnych. Ostatnio prawdopodobnie pewien wzrost wykazują zarobki na robotach leśnych, niewątpliwie jednak pozycja ta nie jest w stanie skompensować znacznego spadku zarobków z pracy w większych warsztatach rolnych. Przytem istnieją wszelkie podstawy do przypuszczania, że obniżenie poziomu zatrudnienia w tych warsztatach, uzyskane pod przymusem kryzysu, zostanie w znacznej mierze utrzymane przez wielką własność na stałe. Znany fakt zahamowania z jednej strony odpływu ludności na emigrację, z drugiej zaś napływu przesyłek emigranckich, obciąża przedewszystkiem rolnictwo, jako główny rezerwuar, z którego czerpała emigracja. Zahamowanie przez okres kryzysu postępów uprzemysłowienia stworzyło na terenie miast olbrzymią armję bezrobotnych, toteż nawet w korzystnych warunkach liczyć się trzeba z tem, że minie czas jakiś, zanim znów stanie się możliwy poważniejszy odpływ ludności wiejskiej do pracy w mieście, a przedewszystkiem w przemyśle. Dodajmy wreszcie, że nożyce cen przemysłowych i rolnych nie zostały w okresie kryzysu zwarte „od góry", obecnie zaś tendencję zwyżkową wykazują nietylko ceny rolne, lecz również i ceny szeregu artykułów przemysłowych. Słowem, stwierdzić można, iż obraz sytuacji wsi, budowany tylko na podstawie zmian w poziomie cen artykułów rolnych, byłby obrazem optymistycznym, że uwzględnienie innych elementów wniosłoby do tego obrazu korektywy in minus. Wieś wychodzi z kryzysu silniej jeszcze niż przedtem przeludniona, i — jak narazie — silniej jeszcze uzależniona od dochodów ze sprzedaży artykułów rolnych, bez możności liczenia na inne pozycje przychodu rolnictwa.

Powyższe stwierdzenie, wynikające z pobieżnej analizy sytuacji obecnej, pokrywa się wpełni z tem, na co wskazuje rozumowanie ogólniejszej natury. W okresie kryzysu w obliczu raptownego rozwarcia nożyc zwracano uwagę przedewszystkiem na to, że odmienna struktura i odmienny sposób reakcji rolnictwa na cykliczne wahania konjunkturalne prowadzą do znacznie silniejszego załamania cen rolnych, aniżeli cen przemysłowych, t. zn. cen w znacznej mierze związanych. Wskazywano też, że obciążenia rolnictwa wykazują szczególnie małą elastyczność przy niezwykłej elastyczności strony dochodowej. Niewątpliwie wywody te były słuszne, lecz pod wpływem nastrojów chwili zwracały uwagę głównie na te czynniki, redukujące udział rolnictwa w dochodzie społecznym, które związane były z konjunkturą. Natomiast równolegle do tych czynników istnieje przecież cały szereg elementów trwałych, związanych z naszą polityką gospodarczą przed-kryzysową, a ciążących dotkliwie na obecnej sytuacji rolnictwa. Nie chcemy wnikać bliżej w to szerokie zagadnienie, możemy tylko dla uwypuklenia myśli przytoczyć, że np. premjowanie wywozu zbóż jest niczem innem, jak odwrotną stroną ceł na artykuły przemysłowe, że akcja oddłużeniowa poza wyciągnięciem wniosków ze wzrostu siły nabywczej pieniądza, w olbrzymiej mierze była konsekwencją wadliwego zorganizowania obsługi kredytowej rolnictwa, itd. itd. I dlatego właśnie, że nietylko momenty kryzysowe, zresztą do tej pory nie całkowicie wygasłe, stały się źródłem *zachwiania* równowagi podziału dochodu narodowego na niekorzyść rolnictwa, problem *przywracania* równowagi wykracza poza okres kryzysu.

Rozwiązanie tego problemu może znaleść dwojaki wyraz. Można przy rewidowaniu zagadnień poza-rolniczych, w układzie całości polityki gospodarczej poszukiwać linji, zabezpieczającej rolnictwo przed nadmiernem przesuwaniem jego dochodu na rzecz celów pozytywnych i niespornych, jak uprzemysłowienie i obsługa potrzeb Państwa. W tej samej płaszczyźnie można dążyć do zahamowania przewłaszczeń dochodu rolniczego na rzecz nie twórczych czynników życia gospodarczego (kartele). Można też iść po wręcz odmiennej drodze. Zamiast usuwać czynniki, działające na niekorzyść rolnictwa w podziale dochodu społecznego, można wprowadzać nowe elementy, przeciwstawne w stosunku do elementów niekorzystnych. Nie jest to zapewne najszczęśliwsza droga, ale jest ona nieuchronna, o ile nie wybierze się pierwszej. W każdym zaś razie dotychczasowa skromna poprawa w rolnictwie nie upoważnia absolutnie do mniemania, że można byłoby troskę o zwiększenie udziału rolnictwa w dochodzie społecznym uznać za problem zamknięty.

c. k.

KLUCZ I DZIURA

Dziurą jest bezrobocie i potrzeby inwestycyjne terenu, kluczem — klucz podziału kwot na zatrudnienie bezrobotnych. Jak się okazuje, wcale nie tak łatwo dopasować klucz do dziury. I dlatego nie można otworzyć zamku, który stał się jakimś zamkiem zaczarowanym ze śpiącą królewną.

Z końcem 1935 r. poszukujących pracy (zarejestrowanych) było w Polsce 403.000 ludzi. Z tego na woj. centralne przypadało 45%, wschodnie — 4%, zachodnie — 40% i południowe — 11%. Działający w tymże czasie Fundusz Pracy przydzielił spośród 84 milj. zł. na woj. centralne 53%, wschodnie — 7%, zachodnie — 24% i południowe — 16%. Porównanie to świadczy, że klucz podziału odpowiada bardziej potrzebom inwestycyjnym, aniżeli wysokości nominalnego bezrobocia.

Myśl, zawarta w takiej właśnie repartycji środków Funduszu Pracy, jest słuszna. Optyka bezrobocia zarejestrowanego musi ustąpić miejsca logice struktury gospodarczej terenu. Wojewoda Śląski ma stosunkowo duży odsetek bezrobotnych, ale obawiamy się, że potrzeby inwestycyjne jego województwa są już dostatecznie nasycone. Jeżeli będzie otrzymywał kwoty z Funduszu Pracy pro rata parte bezrobotnych, skutek okaże się ten, że gęstą sieć doskonałych szos będzie się polewało asfaltem, żeby były jeszcze lepsze, a obok jednej linji kolejowej wybuduje się drugą, równoległą.

A jednak klucz jeszcze nie wchodzi do dziury. Dysproporcje w zaopatrzeniu terenu w niezbędne inwestycje gospodarcze (koleje, drogi, elewatory, rzeźnie i t. p.) są znacznie większe, aniżeli to wynika z różnicy pomiędzy odsetkiem bezrobocia a odsetkiem przydziału kwot z Funduszu Pracy. Problem Polski „A" i Polski „B" wymaga — przy swem rozwiązywaniu — jeszcze śmielszego odstępstwa od zasady: każdemu województwu według ilości jego bezrobotnych. Odstępstwo to ma zresztą i drugie uzasadnienie: celowość robót publicznych, jako takich. Roboty publiczne, t. j. te, które absorbują niemal wyłącznie prostą pracę fizyczną, powinny być dostępne raczej dla bezrobotnych drobno-fabrycznych, ex-robotników niewykwalifikowanych, młodzieży i nawet — małorolnych. Zatrudnienie wymienionych stworzyć powinno siłę nabywczą warstw drugo-planowych, ale chłonnych, i popyt na artykuły, wytwarzane siłami elementu fachowego, wielko-fabrycznego, tworzącego warstwę pierwszo-planową bezrobotnych. Jeżeli więc Fundusz Pracy zastrzyknie np. miljon zł. Ziemiom Wschodnim, to przynajmniej 500.000 zł. dostanie się z powrotem województwom zachodnim, gdzie wzmoże się produkcja naczyń kuchennych, łopat, wideł, a kto wie czy nie pługów, nawozów sztucznych etc. Rozładowanie bezrobocia w sposób bezpośredni w Polsce „B" powinno przyczynić się do rozładowania pośredniego w Polsce „A".

Rozważania nasze traktujemy jako fragmentaryczny przyczynek do dyskusji, którą wywołać musi plan 4-o letnich inwestycyj, obliczonych na 1.800 tys. zł. Istnieje już teraz obawa, że argumenty „optyczne" zechcą przy tej okazji odegrać się na argumentach inwestycyjnego uzbrojenia terenu.

k. b.

KAZIMIERZ BRODNICKI

WARSZAWA

Warszawa posiada dwa odrębne aspekty: stolicy państwa i jednego z większych miast. Między temi dwoma zakresami działania brak pełnej korelacji. Ważną jest również kwestja zmniejszenia dystansu pomiędzy stolicą a prowincją kraju.

Warszawa jest miastem, któremu się poszczęściło...

Położona na ubogiem, jałowem Mazowszu, szczęśliwemu dla siebie zbiegowi okoliczności zawdzięczać może wybór na stolicę Rzplitej. Pożar, niszcząc w 1595 r. zamek wawelski, zmusił dwór królewski do szukania nowej siedziby. A ponieważ zapobiegliwa królowa Bona wybrała sobie Warszawę za jedną z wielu swych rezydencyj, istniał już gotowy punkt oparcia, który przesądził przeniesie stolicy z Krakowa do Warszawy.

Pożar Wawelu nie był jednak, dostatecznym powodem zamiany Krakowa na Warszawę. Zamków królowej Bony było kilka, a znaczniejszych miast wojewódzkich (chociażby taki Płock lub Lublin) liczono wówczas dość dużo. Obok przypadku, o wyborze Warszawy na stolicę zdecydował splot — jak pisze S. Rychliński [1]) — „niezmiernie ważkich czynników geograficznych i politycznych". Kraków leżał na skraju Rzplitej i Poznań takoż, Lwów był stale narażony na inwazję tatarską, Wilno — rosyjską, jedna tylko Warszawa leżała — w ówczesnych warunkach — centralnie, gdyż sąsiadujące z Mazowszem Prusy Książęce nie groziły już żadnem niebezpieczeństwem. Na wybór Warszawy wpłynęła jeszcze i ta okoliczność, że była ona stolicą ostatniego z samoistnych księstw (Mazowsza) i sejmującej szlachty, czynnika coraz bardziej decydującego o losach Państwa. Ten ostatni moment zaciążył nietylko na dalszej przyszłości Rzplitej, wydanej na łup demagogji ciemnego szlachcica, lecz i na fizjognomji miasta, któremu przypadła rola reprezentowania najlep-

[1]) S. Rychliński „Warszawa jako stolica Polski" (1936 rok), str. 7. Dalsze cytaty (z podaniem stronicy) z tego samego źródła.

szych walorów kraju, a które wszakże było otoczone ludnością daleką od wartości optymalnych.

Wybór Warszawy na stolicę przesądził jej dalsze losy, przesądził w sensie dodatnim. Aczkolwiek nie miała pod bokiem morza lub surowców przemysłowych, Warszawa stawała się coraz to bogatszem w przemysł i handel miastem. Miała jednak i „łut szczęścia", skoro lepiej od niej sytuowane miasta nie potrafiły dźwignąć się po tylu kataklizmach wojennych, z nawałą szwedzką na czele. Chociaż zniszczona przez Szwedów i zdziesiątkowana morową zarazą na początku XVIII stulecia, Warszawa potrafiła bardzo szybko dźwignąć się z upadku i ta niebywała zdolność regeneracyjna pozostała jej cechą po dzień dzisiejszy. A przecież bywała na wozie i pod wozem: upadek i rozbiory Rzplitej powodują zmniejszenie ludności Warszawy, zwycięstwa Napoleona i utworzenie Księstwa Warszawskiego, skolei zaś — Królestwa Kongresowego podnoszą jej rolę, przegrana 1831 r. doprowadza do nowego wyludnienia się miasta, powstający kapitalizm w Polsce goi rany Warszawy po powstaniu styczniowem, szkodzi miastu okres zamieszek po 1905 r., prosperity przedwojenna znowu podnosi miasto, potem wojna i okupacja kładą kres rozwojowi Warszawy i dopiero odzyskanie przez kraj niepodległości pozwala Warszawie stać się znowu miastem, które „rośnie i kwitnie".

Przechodząc zmienne koleje losu, Warszawa stale i szybko posuwa się ku górze. Od 1791 r. do 1931 r. Warszawa wzrasta ze 120.000 na 1,200.000 mieszkańców. Niewątpliwie jednak większość swych sukcesów miasto, jako takie, zawdzięcza stolicy, t. zn. gdy kraj przeżywa lepsze losy, to wzrasta i rola Warszawy, jako punktu centralnego w Rzeczypospolitej. Jest przytem rzeczą charakterystyczną, iż w okresie pomiędzy powstaniem listopadowem a wielką wojną obok Warszawy dużą, o ile nie większą rolę, odgrywają — zwłaszcza na polu kulturalnem — inne miasta, jak Poznań, Kraków i Lwów.

Wysunięcie się Warszawy jako stolicy odrodzonej Rzeczypospolitej nie powinno zaciemnić faktu, że i szereg większych miast prowincjonalnych wykazuje równe, a niekiedy nawet lepsze tempo rozwoju. Przyjmując stan ludności danego miasta w 1910 r. za 100, otrzymamy, iż w 1935 r. wskaźnik zaludnienia wyniósł:

w Katowicach	305	w Łodzi	157
„ Bydgoszczy	223	„ Krakowie	156
„ Częstochowie	178	„ Lwowie	153
„ Lublinie	174	„ Chorzowie	142
„ Poznaniu	166	„ Sosnowcu	120
„ Warszawie	157	„ Wilnie	116

W ostatniem pięcioleciu (1931 — 1936) największy przyrost ludności wykazuje Chorzów (28%), poczem idą: Częstochowa (10%), Bydgoszcz i Sosnowiec (9%), Kraków (8%), Łódź i Wilno (6%), Poznań (5%) i dopiero potem Warszawa (4%), Katowice (3%) i Lublin (2%), tudzież Lwów (bez przyrostu). Innemi słowy, tempo rozwoju Warszawy pomimo wysunięcia jej na przodujące stanowisko w państwie, relatywnie biorąc osłabło, gdy na plan pierwszy wysunęły się raczej miasta, położone w Polsce „A", t. j. w połaci zachodniej. Tem nie mniej Warszawa liczy dzisiaj akurat tylu mieszkańców, co Lwów ,Poznań, Wilno i Kraków, razem wzięte.

Szczęśliwy traf i dogodne położenie geo - polityczne Warszawy w XVI — VXIII stul., którym miasto zawdzięcza swoje wyniesienie, nie zostały w 100% powtórzone po odzyskaniu przez kraj niepodległości. Warszawa leży na uboczu wielkich centrów czy to przemysłowych, czy to rolniczych. Zagłębia węglowe i naftowe, surowce hutnicze [1]), ośrodki masowej produkcji zbożowej i hodowlanej są oddalone przeciętnie o 300 km. Nie jest to moment decydujący, gdyż w innych krajach dzieje się naogół tak samo, chociaż naogół nieco lepiej. Ważniejsze jest komunikacyjne położenie miasta; p. Rychliński jest zdania, iż „Warszawa zajmuje i zawsze będzie zajmowała punkt centralny w stosunku do wszystkich stolic prowincjonalnych, a także i w pewnym stopniu w stosunku do wybrzeża morskiego" (69). Ten sam autor jednak przyznaje, iż po zjednoczeniu Polski „Warszawa znalazła się nieco na uboczu w stosunku do systemu kolejowego zachodu i południa kraju" (68). Niedocenia się również ważnej okoliczności, że dopóki Rosja należała do Europy, Warszawa istotnie leżała — jak dowodził Lesseps — w „pępku" tej ostatniej; obecnie leży ona cokolwiek peryferyjnie. Oddalenie od morza również wpływa pod tym względem ujemnie; stąd w handlu zagranicznym Warszawę zapewne zdystansuje Gdynia.

„Rola Warszawy, jako ośrodka przemysłowego i handlowego, oraz skupienia bogactwa, jest znacznie mniej doniosła, niż w zakresie wpływów bardziej pośrednich, a mianowicie, jako centrum, z którego promieniują wpływy gospodarcze" (91). Co innego więc Warszawa jako stolica, a co innego — jako miasto. Powiązanie losów miasta z przeżyciami stolicy utrudnia pogląd na możliwości rozwojowe Warszawy. Warunki historyczno -geograficzno - polityczne sprawiły ponadto, że „ludność Warszawy nie stanowi, oczywiście, w całości elity ludności krajowej. Zaniedbanie kulturalne okresu niewoli sprawia, że przeciętny poziom wykształcenia jest niższy, niż na zachodzie i na południu kraju" (117). Stąd chwilowo nie można jeszcze mówić o „posłannictwie" Warszawy, jakby to wynikało z wniosków cyt. autora (177).

Ciężar gatunkowy Warszawy jest jednak bezsprzecznie pokaźny. I to nietylko dlatego, że Warszawa liczy 4% ogółu ludności kraju wzgl. 13% ludności miejskiej, jak też nie z tej przyczyny, że miasto jest głównym konsumentem bydła, trzody, cegły, drutu, żelaza, stali, węgla, tkanin, mąki lub alkoholu. Warszawa jest najpoważniejszym ośrodkiem przemysłu przetwórczego, handlu i finansów. Mamy tutaj rozwinięte głównie te przemysły, które posiadają charakter konsumcyjny, zbytkowy, reperacyjny i t. p.; są to przeważnie przedsiębiorstwa średnie (od 20 do 50 robotników), a obok nich — rzemiosło i chałupnictwo. Obejmują one przedewszystkiem wyrób artykułów spożywczych, odzieżowych, mydlarskich, aptekarskich, artykułów mody i t. p., pralnie bielizny i ubrań, warsztaty reperacyjne, drukarnie, przedsiębiorstwa budowlane i ich pomocnicze, wreszcie zakła-

[1]) Stąd kartele i inne ośrodki dyspozycji *surowcami* mieszczą się przeważnie poza stolicą.

dy przemysłu metalowego. Ich klijentela jest zamożniejsza, a rynek bardziej pojemny, niż przeciętnie w całym kraju. Stąd pomimo wielkiego sproletaryzowania produkcji przemysłowej (pod tym względem Warszawa stoi wtyle za Katowicami i Krakowem, a przed Lwowem i Wilnem) producent warszawski prosperuje lepiej, niż gdziekolwiekindziej. Stopa podatku dochodowego w przemyśle wynosiła w 1928 r. przeciętnie dla Polski 19,5%, dla Warszawy zaś 22,2%; w rzemiośle wynosiła ona 4,1 i resp. 4,5%. Wypłaty brutto na dniówkę robotniczą w 1934 r. wyniosły w Warszawie 6,39 zł., gdy przeciętnie w Polsce tylko 5,05 zł. Odsetek przypadający na Warszawę przedsiębiorstw handlowych (1928 r.) wynosił 6,9%, ich zaś obrotów 21,5% ,a dochodów — 17,5%. Zacofanie techniczne (drożyzna prądu elektrycznego) i organizacyjne drobnego przemysłowca, rzemieślnika i kupca warszawskiego było i jest wynagradzane lepszą rentownością produkcji czy wymiany, a także większą energją, przedsiębiorczością i sprytem przedsiębiorców. Odporność na kryzys okazała się tu relatywnie większa, obecność zaś i „narastanie karłowatych przedsiębiorstw nie jest wyłącznie procesem ubożenia, ale w ogromnej swej części wynika z awansu społecznego" (58).

Awans społeczny jest w Warszawie, jako stolicy, daleko łatwiejszy i szybszy, aniżeli w każdem innem mieście. Jest przytem bardziej wszechstronny, co stawia Warszawę w sytuacji lepszej od jednostronnej Łodzi (gdzie króluje niemal wyłącznie przemysł i handel włókienniczy) lub takiegoż Sosnowca (przemysł górniczo - hutniczy). Dzięki wielkiemu zróżniczkowaniu struktury gospodarczej Warszawy istnieje w niej bogatsza niż gdzieindziej gama czy skala dochodów, a tem samem i szczebli drabiny t. zw. karjery społecznej, co sprzyja demokratyzmowi, trudnemu do zrealizowania w „okręgach wielkiego przemysłu, gdzie tak wielki jest przeskok między proletarjatem robotniczym a sferami posiadającemi i kierowniczemi" (67). Czyż nie jest charakterystyczne, iż urzędnicy państwowi i samorządowi, którzy przeciętnie w całym kraju stanowią największą grupę abonentów radjowych (16,7%), w Warszawie stoją dopiero na czwartem miejscu (12,3%), zdystansowani przez urzędników prywatnych (28,6%), kupców (16,3%) oraz — co ważniejsze — rzemieślników i robotników (13,8%)?

Lepszy układ sił gospodarczych i społecznych zawdzięcza Warszawa nietylko temu, że jest stolicą, ale i temu, że prowincja polska jest biedna, zacofana i strukturalnie gorzej postawiona. „Warszawa jest areną, na której wybijają się gospodarczo jednostki szczególnie zdolne i przedsiębiorcze. Innej areny tych rozmiarów kraj nasz nie posiada" (90). Jest to fakt niewątpliwie ujemny. To, że „Warszawa jest jakby Mekką dla żywiołu awansującego społecznie, dla szerokich rzesz inteligencji przedewszystkiem" (102), poczytywać należy w pewnym stopniu za minus dla pozostałych ośrodków kraju, które same dobrowolnie likwidują swoje znaczenie na rzecz stolicy (zjawisko to jaskrawo występuje n. p. we Lwowie). Pewną rekompensatę stanowić może krzyżowanie się w stolicy najrozmaitszych wpływów i zainteresowań, przez co atmosfera, którą stolica żyje i którą promieniuje nazewnątrz, nie jest produktem jedno, lecz wielostronnym. Przewaga duchowa Warszawy występuje przytem w parze z jej przewagą na polu ekonomicznem, co tłomaczyć należy: primo — jej znaczeniem jako ośrodka dyspozycji i jako wielkiego konsumenta zarazem, secundo — „ubóstwem stosunkowem kraju" (92). Tak np. rola Warszawy jako dysponenta kapitałowego i koncentracja operacyj giełdowych w Warszawie są „zjawiskiem w dużym stopniu samorzutnem, wynikającem z dużego ubóstwa kraju i słabego tętna operacyj na giełdach dokonywanych" (83). Tą drogą Warszawa, która jest w płaszczyźnie przemysłu i handlu bynajmniej nie najważniejszym ośrodkiem, w dziedzinie finansowej staje się — jak nas p. Rychliński zapewnia — dyktatorem kredytowym całego kraju.

Uprzywilejowane położenie Warszawy jako stolicy daje krajowi pewne korzyści obok szeregu minusów. Scentralizowanie dyspozycji gospodarczej, kulturalnej i t. d. jest nader pożądane w kraju, który dopiero odniedawna posiadł niepodległość i zjednoczył szereg odrębnych gospodarczo organizmów; z drugiej strony nadmierna centralizacja działa paraliżująco na rozwój peryferyj. Warszawa nie może wyręczać Wilna, Lwowa czy Poznania, może je tylko uzupełniać. Moment pewnej wygody (obecność władz, środowisko bogatej kultury materjalnej i duchowej etc) nie powinien przysłaniać konieczności równomiernego rozwoju innych ośrodków. Proces zabierania przez Warszawę lepszej cząstki niemal każdego zjawiska (niezawiniony zresztą przez mieszkańców stolicy) przeradza się niekiedy w psychozę. Możnaby ją sparaliżować np. przeniesiem stolicy z Warszawy do — dajmy na to — Lublina (idealnie centralne położenie) lub Lwowa (misja na wschodzie, o której pisze p. Rychliński, mając na myśli Warszawę), gdyby nie koszta takich przenosin. Jeżeli jednak Warszawa, jak mniema cyt. autor, jest „niejako forpocztą organizacji przemysłowej typu zachodnio - europejskiego, wysuniętą w kierunku połaci kraju zapóźnionych i zaniedbanych" (52), to zbyt wielki dystans — w czasie i przestrzeni — dzielący Warszawę od Dawidgródka lub Trembowli wymaga stworzenia sieci forpoczt pośrednich, coś w rodzaju wice - stolic (może to być Lublin i Lwów, ale także Brześć, Równe i Tarnopol).

Zagadnienie Warszawy rozszczepia się na dwie kwestje odrębne: miasta i stolicy. Ta pierwsza jest czysto lokalna, ta druga — kwestją ogólnokrajową. Warszawa, jako miasto, pozostała mocno wtyle za innemi większemi miastami w Polsce; jako stolica wysforowała się naprzód kosztem zacofania prowincji. Rzecz teraz w tem, by: primo podciągnąć miasto do poziomu i roli stolicy, a secundo — podciągnąć prowincję do poziomu, w którym dystans między nią a stolicą nie będzie zbytnio rażący. Na ubóstwie kraju nie można bazować rozkwitu stolicy. Nie ona jest temu winna, tem łatwiej więc znaleźć środki zaradcze. Rozkwit miast Polski „A" dawałby nawet odpowiedź na poruszone tutaj wątpliwości.

NOTATKI

TROCHĘ O WĘGLU

Do rzędu największych zakłamań społecznych i gospodarczych w Polsce należy bezsprzecznie teza, że ochrona istniejącego stanu posiadania w przemyśle węglowym jest świętym obowiązkiem państwa i społeczeństwa. Stworzono więc i opatentowano pozornie bezsporną teorję, iż przemysł węglowy, zrujnowany eksportem dumpingowym, dopłaca do każdej wydobytej tonny. W uzupełnieniu tej pięknej fikcji rzucono na rynek powiedzenie, że tylko kartel zapewnia społeczeństwu węgiel do pieca, a państwu spokój na odcinku socjalnym. Wreszcie ukuto zręczną historyjkę o tem, że rozwiązanie kartelu i zniżka cen węgla równałaby się zamknięciu kopalń nierentownych, t. zn. ich zalaniu, a przecież momenty strategiczne nie pozwalają na podobną metodę.

Pozostawiając na boku „motyw strategiczny", który „okazał się być"... bluffem (woda konserwuje, a nie niszczy, da się zaś łatwo i szybko wypompować), pozwalamy sobie zwrócić uwagę na pewne nieścisłości czy luki w odmalowaniu socjalnej strony zagadnienia. Wystarczy bowiem zajrzeć do statystyki, aby się przekonać, iż tak dbali o bezpieczeństwo policyjne właściciele kopalń zredukowali od 1929 do 1935 r. tylko 56 tys. górników, co stanowi 45% stanu załogi z 1929 r. Równocześnie zniżono zarobki górników z 9,98 zł. za dniówkę (1930 r.) na 8,04 zł. (1935 r.). Mało tego — redukcją załogi i modernizacją techniki wydobycia kopalnie uzyskały to, że wydobycie węgla na 1 robotniko-dniówkę wyniosło w r. ub. 1.768 kg, bijąc rekord nietylko okresu 1927 — 1934 r., ale również lat przedwojennych. Co więcej — rekord ten jest rekordem ogólnoeuropejskim, albowiem w 1934 r. 1 robotniko-dniówka dawała w Polsce przeciętnie 1.704 kg. (na G. Śląsku nawet 1.930), gdy w najwydajniejszej w Europie Rzeszy Niemieckiej punktem szczytowym (również na G. Śląsku), było 1.763 kg.

Zmniejszenie ilości zatrudnionych górników blisko o połowę, redukcja płac niemal o 20% i wzmożenie wydajności o ca. 40% świadczą, że okresu, jaki nas dzieli w chwili bieżącej od lat minionej „prosperity" przemysł węglowy nie zmarnował. Rozumie się — nie zmarnował na odcinku socjalnym. Bo o sukcesach na rynku wewnętrznym, mierzonych ceną i popytem, pisać byłoby znaczniej trudniej.

br.

WILK I OWCA

Obywatel, pociągany do świadczeń na rzecz Państwa oraz samorządu terytorjalnego i gospodarczego (wzgl. zawodowego), nie jest bynajmniej wolny od wszelkich innych opłat, których cel i regularność nadaje im charakter świadczeń publicznych. W ten sposób obok podatków, danin i opłat istnieje bogaty kalejdoskop składek, będących w gruncie rzeczy zamaskowanym systemem podatkowym. Sumy te, w Polsce np., nie są małe, jeśli się zważy, iż dochody 5 stowarzyszeń wyższej użyteczności (Polski Czerwony Krzyż, Polski Biały Krzyż, L. O. P. P., Tow. Budowy Szkół Powszechnych, Tow. Przyjaciół Młodzieży Akademickiej) oraz Ligi Morskiej i Kolonjalnej wyniosły w 1935 r. 23 milj. zł. z czego conajmniej 3/4 — 16 milj. zł. — stanowiły składki członków rzeczywistych i wspierających.

Nie byłoby w tem wszystkiem nic złego, gdyby nie *metoda* ściągania tych dodatkowych opłat. Jest rzeczą wiadomą, że pociągane do tych opłat są tylko niektóre grupy ludności, a więc przedewszystkiem urzędnicy publiczni, nauczycielstwo, wojskowi i młodzież szkolna. Powtóre — te same grupy płacą składki równocześnie na rzecz kilku instytucyj. Potrzecie — nie są to wszystkie świadczenia dodatkowe, obciążające wymienione grupy. Przecież do wyliczonych uprzednio instytucyj dochodzi jeszcze cały szereg pożytecznych i potrzebnych stowarzyszeń filantropijnych, społecznych, gospodarczych i t. p., dochodzi Związek Strzelecki, ostatnio doszedł Fundusz Obrony Narodowej. Powstaje swojego rodzaju inflacja „wzniosłych celów" i służących tym celom instytucyj. Obywatel, najczęściej ciągle ten sam, do którego uczucia i kieszeni apeluje każde ze stowarzyszeń i każdy fundusz, zaczyna się gubić w nadmiarze potrzeb, zaspakajanych „przecież nic nie znaczącą"(!) złotóweczką z jego mizernej pensji lub z kiepskich obrotów jego przedsiębiorstwa.

A najgorsze jest tło, czy atmosfera niektórych z omawianych świadczeń. Niejednokrotnie zdarza się, że są one tylko formalnie składkami dobrowolnemi, bo w rzeczywistości na ich pobór wypływa taka czy inna presja moralna, której źródło jest nieznane. Gdy w trzeciej Rzeszy co tydzień urządza się ogólno-niemiecki dzień na cel ten lub ów i biada każdemu obywatelowi, jeśli się od świadczeń uchyli, to w Polsce wbrew stanowisku zgóry, bez „Wink von oben" dolne dykasterje traktują pracę społeczną na równi z pańszczyźnianym przymusem. Dzieje się to tem łatwiej, że niektóre urzędy same bezprawnie wymagają od obywatela świadczeń, wiedząc zgóry, że obywatel, będąc w sytuacji przymusowej, na te opłaty się zgodzi. Jeżeli podróżnemu, któremu depczą po piętach w „ogonku" do kasy biletowej, dopiszą lub doliczą 10 — 20 groszową (takie głupstwo!...) opłatę na F. O. M., albo obywatelowi, ubiegającemu się o pozwolenie na broń, każą dopłacić 1 — 2 zł. na bezrobotnych — to w jednym i drugim wypadku brak jest podstawy prawnej, przyczem „podatnik" nie ma nigdzie rekursu, bo odwołanie wstrzymuje wykonanie... danej pracy przez urząd (niezapłacenia dodatku na bezrobotnych grozi przewlekaniem załatwienia pozwolenia na prawo noszenia broni).

Cele, którym służą stowarzyszenia wyższej użyteczności, Fundusz Obrony Narodowej i t. p., są poważne i pożyteczne. Ale w takim razie obowiązuje powaga i w realizacji strony dochodowej wymienionych instytucyj. Jeżeli zaś chodzi o przyciągnięcie do dodatkowych świadczeń ogółu czy większej, niż obecnie, ilości obywateli, to nic prostszego, jak ich o tem

lojalnie, uprzednio i powszechnie uprzedzić. Jestem pewien, że przy jawnem, a nie pokątnem i na dowolności opartem, postawieniu sprawy będzie i wilk syty i owca cała.

z. i.

TREŚĆ I FORMA

W artykule p. t. „Strajki" (zob. Nr. 14 — 15 tegorocznej „Gospodarki") p. T. Kornicz postawił m. inn. tezę, że natężenie ruchu strajkowego jest odwrotnie proporcjonalne do osłabienia związków zawodowych. Nie wiem, czy twierdzenia tego nie można również odwrócić (im aktywniej i skuteczniej działają komitety strajkowe, tem słabiej się prezentują sztywne związki zawodowe), wiadomo jednak napewno, iż między temi dwoma zjawiskami istnieje jakaś zależność funkcjonalna.

Członkowie robotniczych związków zawodowych tworzą grupę, liczącą (w 1934 r.) 589.000 ludzi, z czego jednak tylko 377.000 (64%) płaciło składki. Jak wiemy, górnictwo, hutnictwo i przemysł przetwórczy zatrudniały w tym samym czasie ca. 550.000 robotników, a zatem pozornie wszyscy robotnicy byli członkami robotniczych związków zawodowych, ponadto zaś należeli do nich pracownicy fizyczni z kategorji usługowych (dozorcy domowi, służba domowa, tramwajarze) oraz pocztowcy i kolejarze. Odejmując tę właśnie grupę, otrzymamy, iż nie więcej, jak 450.000 członków związków zawodowych rekrutowało się z proletarjatu fizycznego, zatrudnionego w górnictwie, hutnictwie i przemyśle przetwórczym. A zatem tylko 100.000 robotników nie należało do swych organizacyj zawodowych. Jak na polskie stosunki jest to odsetek niewątpliwie nieznaczny.

A jednak nie w tem rzecz. Płacący składki, a nie papierowi członkowie, dają miarę istotnej wielkości liczebnej stowarzyszenia. Tytuł do decydowania o losach organizacji mają tylko faktyczni członkowie, którzy z całą pewnością nie stanowią więcej, jak połowę proletarjatu, pracującego w kopalniach i fabrykach. Mówimy: tytuł, ale przecież z tytułu formalnego korzystają też nie wszyscy uprawnieni. Aktywne elementy są w mniejszości, a zatem nominalnie silny robotniczy ruch zawodowy jest de facto ruchem słabym. Na tle tej jego słabości specjalnego charakteru nabiera fakt, że roboty publiczne skupiają coraz to większe masy bezrobotnych, element z natury rzeczy bardziej śmiały, przedsiębiorczy i aktywny.

I w konsekwencji powyższego stanu rzeczy ruch strajkowy wzmaga się z każdym rokiem. Ilość strajków w 1935 r. jest największa na przestrzeni ostatnich lat 12, liczba zakładów, objętych przez strajki, przewyższa maxima okresu inflancji, ilość strajkujących dochodzi do 450 tys. (rekord w ciągu ostatnich 11 lat), a stosunkowo niska liczba straconych robotniko-dni świadczy o pozytywnych (dla strajkujących) rezultatach walki strajkowej; potwierdza to fakt, iż w 1935 r. odsetek strajków wygranych (całkowicie lub częściowo) wynosi 75% i jest niemal najwyższy w całym zbadanym przez G. U. S. okresie (1923 — 1935).

Innemi słowy — jesteśmy świadkami słabości ruchu zawodowego i wzmożonej prężności proletarjatu. Świadczyłoby to o przeżywaniu się pewnych *form*, nawet o ich — zwycięskiem — przezwyciężaniu, i o kontynuacji pewnej *treści*, treści społeczno-gospodarczej i społeczno-ustrojowej, jaka tkwi w każdej *akcji* strajkowej.

k. b.

PO OLIMPJADZIE

Nasz występ na tegorocznej Olimpjadzie sportowej w Berlinie przypomina udział Polski w zeszłorocznej wystawie międzynarodowej w Brukseli. Wystawa, jak wiadomo, była obesłana wszechstronnie i wypadła doskonale, państwa wystąpiły z rewją swych dokonań gospodarczych, przodowały wszystkim Włochy, imponujące kolosalnym rozmachem, ale nawet drobne państwa, nie posiadające takiego gestu i takich możliwości, jak faszystowska Italja, zaprezentowały najważniejsze i najbardziej dla ich fizjognomji gospodarczej charakterystyczne objekty. Polska, która w zasadzie na wystawie nie miała wystąpić, gdyż jej sytuacja materjalna stała temu na przeszkodzie, w ostatniej chwili zdecydowała się na zmianę taktyki i — nastąpiła kompromitacja. Łeb żubra i bryła węgla miały — wśród galimatjasu rzeczy nikomu niepotrzebnych — symbolizować nasz dorobek gospodarczy i kierunek rozwojowy polskiego gospodarstwa narodowego. Nie mogąc dorównać Włochom, Holandji, czy Argentynie, nie mieliśmy odwagi zatrzymać się przed wrotami wystawy, tak, jak to uczyniła wielka Rosja i maleńka Litwa.

Przesłanki naszej kompromitacji w Brukseli w dużym stopniu pasują do dziewiętnastego miejsca na Olimpjadzie. I tu i tam mieliśmy zbyt krótki oddech, i tu i tam byliśmy nieprzygotowani. Bo błędem jest myśleć, że skoro mamy żubry i węgiel (resp. Walasiewiczównę i Kuleszę), to już możemy puszczać się na współzawodnictwo z innymi narodami. Po pierwsze jakość naszych „asów" pozostawia dużo do życzenia, a po drugie — niema w czem wybierać. Klasa, jaką na Olimpjadzie zaprezentowali Niemcy i Włosi, świadczy o szerokim zakresie przygotowania całego społeczeństwa. W obu tych krajach szykowano się do Olimpjady, dopingując nietylko wybrane, wyborowe jednostki (i my to też potrafimy), ale i całe falangi kandydatów, tysiączne zastępy młodzieży.

Na 30 paro-miljonowe społeczeństwo ilość ćwiczących sportowo członków jest, doprawdy, nieznaczna: 300.000, t. zn. mniej niż 1%, przyczem w dużych miastach sportowców jest proporcjonalnie więcej aniżeli w miastach mniejszych i na wsi. Te 300.000 osób, zrzeszonych w ca. 8.000 klubach, stowarzyszeniach i związkach, ma do dyspozycji coś ponad 50 parków (stadjonów) sportowych, ok. 9.000 boisk (głównie małych, prymitywnych), ok. 300 pływalni, ponad 1.100 hal sportowych i sal gimnastycznych, blisko 250 przystani wodnych etc. Dodajmy, że ta skromna ilość urządzeń służy w dużej części grupom zamkniętym (np. szkołom), a masy nie mają do nich dostępu. W porównaniu z przysposobieniem fizycznem Rosji, Włoch, Niemiec — wszystko

to daje obraz b. skromnych osiągnięć, świadcząc zarazem o arystokratycznym niejako stosunku do zagadnienia, tak par excellence masowego.

Poruszając problem sportowy w piśmie gospodarczem, czynimy to z następującego powodu. Jasną jest rzeczą, iż owe bieżnie, pływalnie czy przystanie kosztują, a tego rodzaju inwestycje muszą ciążyć na inwestycjach gospodarczych, mniej lub więcej się rentujących. Nie jest przeto obojętne, ile się na nie przeznacza i jak się je stawia w hierarchji i kolejce zaspokajanych potrzeb. Uznając ich bezsprzeczną (udowodniliśmy to wyżej), celowość, powinniśmy się jednocześnie zastrzec, by potrzeby inwestycyj sportowych nie krzywdziły innych potrzeb, co więcej — by koszt tych pierwszych możliwie w małym stopniu obciążał budżety publiczne. Wydaje się nam, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w sporcie powinna być zmobilizowana energja społeczna, tkwiąca w owych 300.000 sportowców ćwiczących, a zatem silnych i zręcznych. Dla inicjatywy prywatnej — raczej zespołowej, niż indywidualnej — otwiera się wspaniałe pole. Zapewne, tą drogą nie zbudujemy stadjonów, ale to nic nie szkodzi; stadjony są miejscem popisów, gdy do ćwiczeń potrzebne są boiska, pływalnie, tory lodowe i kolarskie, przystanie i t. p., inwestycje względnie łatwe, proste i tanie. Im mniej będzie na nie środków publicznych, tem lepiej: powstanie gęsta sieć skromnych, ale ogółowi dostępnych, urządzeń sportowych, nie powstaną natomiast luksusowe gmachy „elitarne" w stylu, tak dobrze znanym mieszkańcom niezabudowanych Kielc lub prymitywnego Augustowa.

A jeżeli nie wystąpimy na następnej (kosztownej, bo przecież aż w Tokjo) Olimpjadzie, to będzie stąd tylko zysk, bo za te kwoty, które wyrzucono przez okno dla kilkunastu wybranych, możnaby wciągnąć z orbitę przysposobienia fizycznego setki i tysiące młodzieży, kopiącej piłkę nożną na zakurzonych drogach, przeznaczonych — jak się zdaje — do celów komunikacyjnych.

z. i.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.